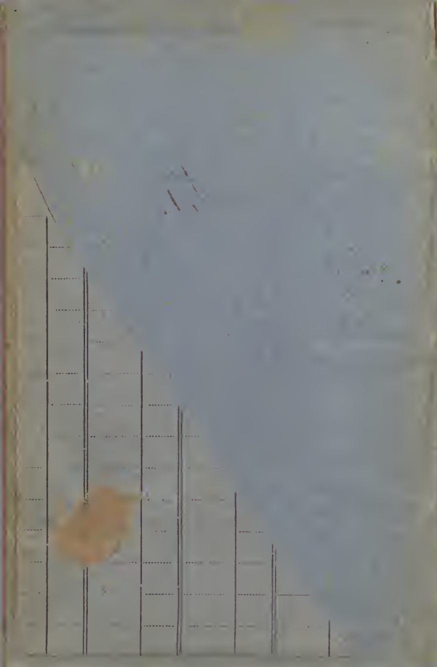








CO CZASY NIOSĄ.



„NOWOŚCI LITERACKIE“

Tom I. *K. Tetmajer* Z WIELKIEGO DOMU. Cena kop. 65, w opr. 85.

Tom II. *Jan Lorentowicz* MŁODA POLSKA I. Cena kop. 65, w oprawie 85.

Tom III. *Mieczysław Srokowski* ICH TAJEMNICA. Cena kop. 60, w oprawie 80.

Tom IV. *T. Jaroszyński* W NAWIASACH ŻYCIA. Cena kop. 60, w oprawie kop. 80.

Tom V. *Jan Bełcikowski* LEON TOŁSTOJ. Cena kop. 80, w opr. 1.—

Tom VI. *Maciej Wierzbiński* W PRZEKLĘTYM DOMU. I. Cena kop. 45, w oprawie 65.

Tom VII. *Maciej Wierzbiński* W PRZEKLĘTYM DOMU. II. Cena kop. 45, w opr. 65.

Tom VIII. *Jan Lemański* PRAWO WŁASNOŚCI. Cena kop. 65 w opr. 85.

Tom IX. *A. Kallas* ONA I ONI. Cena 60 kop. w opr. 80 kop.

Tom X. *Stanisław Cieszkowski* ALEKSANDER I A KONSTYTUCYA. Cena kop. 50 w opr. 70.

Tom XI. *Stefan Kiedrzyński* ROZKOSZ ŻYCIA. Cena kop. 50 w opr. 70.

Tom XII. *Gustaw Olechowski* WZDŁUŻ AZYI. Cena kop. 60 w opr. 80.



NOWOŚCI LITERACKIE TOM XIII

A. N. Nowaczyński

Co czasy niosą

Greckie tragoedye St. Wyspiańskiego. — Haikai. — Odrodzenie Erynu.—Arystofanes po polsku. — Aryanie.

Z portretem autora

WARSZAWA 1909 LWÓW
Księgarnia ST. SADOWSKIEGO

Redaktor i Wydawca Kazimierz Stankiewicz.
Kierownik Literacki Gustaw Olechowski.
Odpowiedzialny za redakcyę we Lwowie K. Pepłowski
ul. Dąbrowskiego 6a.

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

Greckie tragoedye St. Wyspiańskiego.

Helenie Sulimie-Gottowt.

Według starego mytu helleńskiego, duszyce umarłych przeprawiały się w życie pozagrobowe przez szeroki czarny strumień w łódeczce, z siwobrodym Charonem, jako wioślarzem; na przeciwległym brzegu czekali już na nie zawsze czujni sędziowie umarłych, którym trzeba się było przedewszystkiem okupywać obolem... Dziś, kiedy Wyspiański, ten męczeński odkupiciel grzechów naszego pokolenia, przeszedł już do nieznanego Erebu, i gdy z tamtej strony życia staną na brzegu sędziowie zmarłych i surowym wzrokiem zdają się pytać: cóż to czyni Saul między prorokami?—trzeba im będzie zwrócić uwagę na ten obol, pieniążek, jaki zmarły ściska w nazawsze już stężałej, uznojonej

dłoni. Jest ten obol szczerozłoty, najsumienniejszej wagi i miary, z wybitym na jednej stronie wizerunkiem „Polski ukrzyżowanej“; na drugiej stronie widać starte już nieco ślady jakiegoś wspaniałego zamku... wieżyce... baszty... flanki... mury...; coś w tym zamku jest z krakowskiego Wawelu, a coś z nieszczęsnej Troi.

W każdym jednak razie obol to szczerozłoty i nie ulegający na nowo ważeniu i kwestyonowaniu tych z tej strony Styksu żyjących jeszcze... mattoidów, którzy, wyuczywszy się mozolnie pierwszych pięciu liter alfabetu Sztuki, mają dziwną czelność przezywania poety „Wesela“ „modernistą“, szpiegowania w jego dramatach „efektów“ i kwestyonowania, czy potomność „wogóle“ uzna nieśmiertelność jego dzieła twórczego. O zaiste, panowie Dmochowscy i Koźmiany naszych czasów, krytyki i recenzenty istotnie warszawskie, nie z waszych groszowych elukubracyi czerpać będzie swój sąd potomność i dzisiejsza Polska, ta szeroka, żyjąca, nad lepszą przyszłością zapracowana, jak i nie na wasze uznanie go czekała. Wy tylko raz jeszcze przypomnijcie sobie przy sposobności apostrofę do was Mickiewiczowską, właśnie teraz po śmierci tego, co „wielki, bo

wam z oczu zszedł", i wiedzcież, że z pod waszego spryciku recenzyjnego usunięty już raz na zawsze Ten, którego każdy, by najmniej udatny fragment, więcej jest wart od tuzina tomów wypoconych w całej waszej po nizinach bytu wędrówce.

I to wiedząc, wy, którzy nawet instynkt narodu, intuicyjnie ogarniający fenomen Wyspiańskiego — rabskim frazesem śmielicie się w wątpliwość podawać — wy, biedne, wyszarzałe, bezimienne maski niewoli, przestańcie się już raz zajmować tym, co „jak lemiesz przeszedł" przez całe życie duchowe Polski, co „u szczytów sławy poległ za młodu", wróćcie do waszej pisaniny, do waszego „modernizmu", wróćcie na wasze podwórza, by grzebać sobie spokojnie końcami rdzewiących stalówek w starej, swojskiej, umiłowanej rabszczyźnie. Wróćcie do waszych wierszoskrobów o Beotowie z nad Wisły. *Hands off!*



* * *

Na ujęcie zjawiska tak oceanicznego i w dzisiejszej Europie już i nie powtarzającego się, jak dwadzieścia utworów Wyspiań-

skiego, potrzeba będzie istotnie zmiany perspektywicznej i kilku lat życia nowego, zanim z oddalenia czasów będzie można to wszystko ogarnąć jasnym, niezmąconym wzrokiem. Dziś się tylko ma wrażenie, że to chaos Piękna, z którego garściami można czerpać pył gwiezdny i Sezamowe skarby; że ze śmiercią jego odszedł nas jakby Vicktor Hugo pokolenia, którego „Wesele“ *było* naszym „Ernanim“, a którego poezya zrewolucyonizowała nas do gruntu. Nastręcza się tedy obowiązek zastanowienia się kolejno w miarę sił nad tem, jak doniosłą jest strata, którą chwilowo się poniosło, ale i jak wielki spadek dostaje literatura. Zaczem przedewszystkiem z pominięciem na razie utworów wieszczych i z pozostawieniem ich aż do czasów, w których cała treść historyozoficzna, cała wartość ich królewsko-Dusznego ogarnięcia przeszłości i rzucenia olbrzymiego snopu światła na przyszłość okażą się niezatertemi, i największych wzlotów polskiej myśli twórczej godnemi — z pominięciem więc: „Lelewela“, „Wesela“, „Legionu“ i „Wyzwolenia“ — należy na pierwszy ogień rozpatrzeć się w tem, co stanowi żelazny kapitał puścizny Wyspiańskiego i co

ze stanowiska literatury jest nabytkiem pierwszorzędnym.

Tym zaś są bezsprzecznie zmarłego druida tragoedye greckie.

Cała dramaturgia Wyspiańskiego opiera się na fundamentach niepołomnych attyckiego dramatu. Aczkolwiek dla następnych swych wielkich rozprawień ze spółczesnością polską skonstruował sobie wielki *aojdes* własną najosobistszą i już niepowtarzalną formę dramatyczną, czy to jaselkową, czy to wielkiego monologu, rozłożonego na obrazy, głosy i maski dzisiejszych stanów dusz naszych, to jednak podłożem jego sztuki dramatycznej, z którego logicznie i organicznie konstruował swoją późniejszą formę, jest na greckim dramacie oparta tragiczna kultura helleńska. Podstawy Wyspiańskiego były naogół humanistyczne. Dlatego twórczość jego tak była początkowo obcą społeczeństwu Królestwa Polskiego, gdzie humanistyczne wykształcenie jest rzadkością, równie jak w Klondyke czy Transwalu, wogóle w krajach nagle i z amerykańska bogacących się i z parwenjuszowska na humanizm kpiąco poglądających. Cóż bo zresztą i dziwić się tutejszej obojętności dla nieprzebranej wartości np. kultury greckiej, skoro się uwzględni,

że pierwsze idee o tym zapadłym w nieśmiertelność świecie wrażał dzisiejszemu pokoleniu polskiemu w rosyjskim języku człowiek obcy, najęty, zdegenerowany już od dziesiątego pokolenia i to właśnie tem, że jego kultura przejęła w siebie wszystkie soki aż dopiero skarlałej, niewolniczej i już tylko chytrze przewrotnej Grecyi *Greculów* i Bizantyńców. Taki nauczyciel, choćby nawet wiernie o najpiękniejszym śnie ludzkości uczniom swym wykładał, mógł odstręczyć całkowicie od dalszego samoistnego studyum greczyzny. A konsekwencye tego ponosi cała kultura w Królestwie, która, nie mając dziś żadnego spólnego z Europą żelaznego kapitału w przygotowaniu humanistycznem, szuka swoich podstaw z konieczności to w jakiemś forsownem przepolszczeniu wszystkiego, co pod ręką, w „zbożny“ kult piastowskiej „mocarnej“ gleby, inaczej wskroś burżuazyjną idolatryę „chłopka“, to rozpływa się nad wszechmiłością, wszechmarnością i „wsiorównością“ nadwołżańskich „desperados“; to znów na gwałt importuje paryskie nowalie. Ta wzgarda do humanistycznych nauk jest jednym z kluczów do rozwiązania kwestyi, dlaczego poziom intellektualny Królestwa dziś upadł poniżej najniższego poziomu nor-

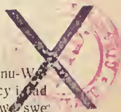
malnego w Europie, i dlaczego przeciętny *citoyen*, wyciągnięty z t. zw. inteligencyi, wzrusza ramionami wzgardliwie na dźwięk greckiego słowa, a wszelkie nawiązania z hellenizmem nazywa „antykwaryczną manią", „galicyjskiem zacofaniem" (sic). Tymczasem zaś, gdyby nie to „galicyjskie zacofanie", nie ta uporna tam straż grobów i cześć „żywych kamieni" i nie czujność nad temi tradycyami plemiennemi, które utrzymać bezwzględnie należy obok najostrzejszej krytyki tych tradycyi, które na zniszczenie dawno zasłużyły, i gdyby nie ten „antykwaryczny interes" dla starożytnego świata, który wykształcona Galicya dzieli zresztą z całą inteligentną Europą, i gdyby nie te humanistyczne z Galicyi dopływy i filiacye, to kto wie, czy po 65 roku nie zaczęłoby właśnie to, co najzapalniejsze w Królestwie, najczulsze i najwrażliwsze, rozpływać się w jakimś wszechsłowiańskim oceanie bezgranicznej miłości bliźniego i fanatycznej nienawiści tego wszystkiego, co bliźni lepszych ras przez dziewietnaście wieków budował i tworzył. Dzisiejszy zaś stan kulturalny Królestwa jest istotnie potworny nietylko ze względu na ten 75% analfabetów (przy którym już zresztą wogóle o żadnej

kulturze mowy być nie może), ale i ze względu na te 20% umiejących czytać i nic nie czytających, i ze względu na ten 5% ostatni, ludzi o kulturze ekonomicznej, technicznej, czasem nawet przyrodniczej, albo często specyficznej kulturce społecznikosko-socyalistoskiej. A ten ostatni 5%, pożerający rocznie kroć broszurczydeł, tłumaczonych masowo ze wszystkich podręcznych języków — w łatwo zrozumiałej ślepocie lekceważy humanistyczne podstawy wszelkiej kultury. I z tem lekceważeniem zstępuje młodzież zwolna po schodach zdziczenia, aż się zrówna z poziomem nadwołżańskich i nadkaspijskich „braci", łykających także haustami eliksiry z broszurek i klnących kwieciście na „zgniliznę", humanizm i śmieszną rafinadę Europejców, myjących się mydłem...

To należało raz powiedzieć, aby wytłumaczyć, że dzisiaj tu nie pora na ocenę rzetelną całego dzieła twórczego pieśniarza „Legendy", całego ogromu Syzyfowej pracy Prometydy, cierpiącego za życia jak Tantal. A już stanowczo nie pora tym, w których system apuchtinowskiej edukacyi z każdego odezwania się w rzeczach kultury, sztuki i literatury przegląda w sposób zdradziecki

i złośliwy. I prawdopodobnie najlepszym wyjściem ze sytuacyi uciążliwej dla dbających o kulturalną opinię Królestwa i Warszawy byłoby absolutne poniechanie go, odłożenie sobie na czasy lepsze, światlejsze i omijanie jego twórczości szczególnie w wyborze tematów dla koncercikowych prelekcyi, które, rzęsisto zlane tendencyjnym sosem „warszawskiego local-radykalizmu", więcej pamięci zmarłego uwłaczają, więcej od sumiennej lektury odstraszają, niżby do pewnej popularyzacyi nawet przyczynić się mogły i chciały.

* * *



Dziecko Krakowa, co u stóp Ilionu-Wawelu, przy przestarej Kanonicznej ulicy i nad Skamandrem-Wisłą spędziło pączkowe swe roczki, w *gymnasium* Nowodwodworskiem, trzysta lat już egzystującem, odebrało pierwszy chrzest humanistyczny. Tutaj mu światli profesorowie otworzyli oczy na cuda świata Homerowego, na wojaże chytrego Xenofonta, na powagę Titi Livii, na spokojne piękno Eneidy, a wreszcie, wreszcie na trójcę twórców wszelkiej tragicznej kultury, na Eschylesa, Sofoklesa i Eurypidesa. Ten ostatni

oczarował go najwięcej i najgłębiej zapadł mu się w duszę. Odtąd już autor „Wesela" z Grecyą nie rozstawał się nigdy, do Homera wracał, jak Milton do Starego Testamentu, jak Goethe do nauk przyrodniczych, a Swinburne do Danta; światy Iliady i Odyssei znał, jakby sobie spółczesne, i młodą swą orlą, głodną życia duszę napawał tętentem cwałujących heksametrów, urokiem wielkich, bohaterskich pojedynków, bitw zgiełkliwych i lśniących patosem słów o rytmicznym spadku. Ale że był w Wyśpiańskim człowiek ścisłej sumienności i do dna rzeczy badawczo docierający, więc postanowił on sobie świat greckiego piękna poznać wszechstronnie, wyczerpująco, zgodnie ze stanem i poglądami spółczesnej sobie nauki. I oto drugi się znajdzie powód, dla którego cztery zgoła nieprzemijającej wartości dramaty greckie Wyspiańskiego, obce już dla względów wyżej przytoczonych szerokim sferom ogółu czytelniczego, obcymi również i niepojętymi są nadal nawet i lubownikom greckiej tragiczności, ale lubownikom, patrzącym na „swój ukochany" świat grecki pod konwencyonalnym kątem stanu nauki o Grecyi z przed lat 50, 80, ba, nawet 100.

* * *

Już te cztery rzeczy Wyspiańskiego, t. j. „Meleager", „Protesilas i Laodamia", „Powrót Odyssa", a następnie fragmenty greckie z „Nocy Listopadowej" („Kora i Demeter"), z „Wyzwolenia" (Hestya) i z „Akropolisu" (gobelin trojański) są nieulegającym dyskusyi, nieśmiertelnym nabytkiem naszej literatury. Na natarczywie brzęczące w uchu pytanie, dyktowane bezmiarem dzisiejszego swojskiego barbarzyństwa nam dramaty greckie Hekubą, co nam do Grecyi? — odpowiedzieć trzeba przedewszystkim, że do tematów greckich sztuka wracać będzie zawsze, ilekroć stosunek do niej będzie przybierał formy więcej religijne. Temu nie zapobiegną zgoła żadne trywjalne przedrwiny z nawrotów do hellenizmu, z greckich akcesoryów psychologicznych, trafiające się w ustach nawet niby filozoficznie wytresowanych, ale zawsze upornie postęp w barbarzyństwie upatrujących literatników. Symbolistyka grecka ma wartości nieprzemijające, gdyż utrwaliła pewne ogólnoludzkie ustosunkowania do zagadek i tajemnic ponadzmysłowych. Naród, który wedle słów Ch. Stew. Chamberlaina odważył się być wszystek gienjalnym, wymyślił też i religię najbardziej artystyczną; dramat grecki był rodzajem majestatycznej

służby Bogu, mając w sobie jeszcze powagę wysławiań bohaterów. Wrażenia dramatów wystawianych były w połowie tylko estetycznemi upojeniami, a w połowie liturgicznemi, zwłaszcza, że pełnia i bogactwo symbolów nawiązywało wciąż fakta z życia heroicznego i uczuciowego z kwestyami transcedentalnymi. Sztuka Greków, nie grzęznąca w materyalistycznym poglądzie na życie, nie dawała typów ograniczonych środowiskiem, ale podnosiła w człowieku to, co bezwarunkowe, specyalne, pełne woli, nieograniczone, zaczem dopiero tragicznie predestynowane. Dla ludzi dzisiejszych tragedya greckich bohaterskich figur leży już w całkiem innych momentach, jak dla Greków, ochotnie wierzących w swój grecki symbolizm religijny. Jak zaś marmur nie jest treścią posągu, tylko jego formą, tak i fikcya dramatyczna, bajka, nie jest jego istotą, ale właśnie formą; istota zależy od przesunięcia interesu psychologicznego na inny punkt, na jego zintensywnieniu, rozświetleniu. Dlatego już i Grecy obrabiali stosunkowo małą ilość materjałów - kompleksów mytycznych; Sofokles, Eschyl, Eurypid w wielu tematach spotykają się ze sobą; we dwa tysiące lat później Corneile, Racine, Goethe podejmują

je ponownie. I znowu w sto lat po nich biorą je do przekształcania nowi pisarze (*Hoffmansthal:* Elektra, Edyp i Sfinx; *Stephen Philipps:* Ulisses; *Eulenberg:* Kassandra; *Ernst Rosmer:* Nausikaa; i kilkunastu autorów francuskich). I ci już całkiem innymi środkami suggerują nam heroiczną udrękę (uważając ją choćby tylko jako efflorescencyę duszy), całkiem inaczej konstruują stosunek winy do kary, całkiem innymi motywami wzbudzają w nas zatrwożenie, grozę i współczucie.

I faktem jest, że dopóki ostoi się Sztuka przed wszystko zatracającem i niwelującem barbarzyństwem, dopóty do kastalskich źródeł tej kultury tragicznej wracać będą twórcy, zawsze pamiętni choćby słów Schopenhauera (obok wielu innych), że tyle razy oddalamy się od kultury, dobrego smaku i piękna, ile razy oddalamy się od Grecyi. Łatwo zaś pojąć, jakiej ten aksyomat (poparty zresztą tysiącem innych) nabiera mocy w warunkach narodu, który nie posiada jakiejkolwiek całokształtnej, samoistnej kultury.

Drugim argumentem *ad philistros*, skąd pochodzi sięganie polskich twórców po tworzywo dramatyczne aż do mytów i legend Grecyi, jest obowiązująca nas tradycya z cza-

sów pierwopoczątków literatury. Piewsze wogóle europejskie opracowanie mytu Ulissesa, aczkolwiek w łacińskim języku, jest twórcy polskiego, przed Hansem Sachsem (!) i datuje się z roku 1516; w tym czasie grany (!) był ten Ulisses przed Zygmuntem I i jego dworem na zamku krakowskim. Z kolei na rok 1578 przypada Kochanowskiego: „Odprawa posłów greckich", szacowna, w wielkim stylu, skroś oryginalna próba skojarzenia fragmentu trojańskiego z tendencyami narodowymi, patryotycznymi. Z tą piękną patetyczną próbą Kochanowskiego nawiązuje już silnie, rozmyślnie i godnie Wyspiański, przejmując przedewszystkiem wysoce wytworną i zaszczytną ideę kojarzenia bezpośredniego motywów greckich z polskimi, początkowo całkiem nieśmiele, z czasem zaś ryzykując istotne stapianie pierwiastków trojańskich z polsko-ludowymi, ilionskich z wawelskimi. Parys Wyspiańskiego jest Parysem-Aleksandrem Kochanowskiego, Kassandra z eklezyastycznej wieszczki wszystkiego złego („Odprawa posłów") przechodzi już tylko w zdecydowane spotęgowanie tych rysów.

Trzeci dramat „Pentezilea" Szymona Szymonowicza z roku 1618, pokrewny już

i eurypidesoskiej Phedrze, w opanowanej nieugaszoną chucią miłosną Jempsarze daje pierwszy egzemplarz tego gatunku erotycznej obsesyi, jaka swój najdemoniczniejszy wyraz a swe artystyczne spełnienie znajduje w pożodze miłosnej Laodamii. Tak więc, gdy już przeszło 380 lat minęło od czasu, kiedy pierwszy dramat z greckich legend grano w Krakowie, a 330, odkąd pierwszy po polsku w Ujazdowie—czemuż dzisiaj dziwią się cni Beotowie, że poeta polski, w którym duch rasy objawił się znów z tak oślepiającą siłą i który jest (jak się to później pokaże) spadkobiercą nietylko tych z przed lat stu, ale i tych z przed lat czterystu—sięgnął łaskawie w skarbiec helleński, aby ze surogatu niestarzejących się mytów wydobyć najbardziej dzisiejsze i najaktualniejsze konflikty uczuciowe, lub dać np. prototypy bohaterstwa kryształnie czystego, bez zmazy i skazy?

Prawda i to, że te w szlachetnym stylu próby adaptacyi greckich form dla polskiego ducha były jeno odosobnionemi usiłowaniami pojedyńczych jednostek, roślinami wysilonego chowu i że żadnego echa w spółczesnych, ni żadnego wrażenia nie wzbudziły; ale prawda i tamto, że każda wpółcze-

sność jest najsłabszym wogóle resonansem dla poety. Wrażenie bowiem istotne dla szerokich kół „rodaków" zaczyna się tam, gdzie się Sztuka kończy, t. j. np. na Zagłobie koprolalizującym, na łbie własnym stojącym.. byle w konfederatce!

* * *

Konwencyonalnie i do dziś dnia jeszcze u nas miarodajne, obowiązujące pojęcie o Grekach streszcza się w tym obrazie: białe statuy, deklamujące powoli heksametrami; Grecya zaś: kraj wiecznej pogody, pełen dystyngowanie spacerujących ludzi w stylu Canovy, Alma-Tademy i Henryka Siemiradzkiego. To pojęcie Grecyi, jako halkyjonicznego, świetlanego, gruntownie optymistycznego społeczeństwa, nagrodzonego za swe umiarkowanie klasyczne bardzo łaskawym, również pogodnym i bardzo klasycznym Olimpem, miało niegdyś swoje dwa wielkie autorytety w Goethem i w Winckelmanie; ci wzięli je w spadku jeszcze po tych myślicielach dawniejszych, którym w przezwyciężaniu średniowieczczyzny potrzeba było dla ciemnego tła ascetycznej negacyi przeciwstawienia w pogodnej, słonecznej, twórczej, greckiej rado-

ści z życia. Dopiero bogate i pierwszej wagi odkrycia w Pergamon, fundamentalniejsze badania greckiego świata, jego mitologii, obyczajowości, jego filozofii praktycznej, psychologiczne odcyfrowania drogą redukcyi z ułamków i ze szczątków, przełomowe prace prof. Arnolda z Oxfordu, dzieła Erwina Rohdego, W. Riehla, Wolfa, Ritschla, w końcu Dörpfelda, a nie mniej i Jakóba Burckhard'a obaliły całkowicie legendę o umiarkowanej pogodzie, szlachetnej równowadze i skromnej prostocie Greków. Na gruzach winckelmanowskiego i goethoskiego mytu o wycyrklowanych Grekach z duszami okrągłemi, jak jabłka, ze sztuką harmonijną, „ogromnie ładną", z filozofią niezmiernie hygieniczną i t. p. wyrosło przedewszystkiem dzieło, wyciągające z obalonej legendy ostatnie konsekwencye, t. j. Nietzschego *primum opus:* „Narodziny tragedyi" (1872). Nie dochodząc jeszcze do nietzscheańskich rezultatów, okazuje się już i niezbicie, że nie był to wcale naród tak niezwykle pogodzony przedewszystkiem z zagadkami pozagrobowego bytu. O jakiejś halkionicznej, nadżyciowej ciszy, jako stałym psychicznym nastroju plemienia, nawet mowy już niema. Pogodny Hellen, bywało czuł się i chmurnym, przemoc-

nym, brutalnym, to znów pieniącym się życiem, to pijanym szałem rozbójnikiem, zdobywcą, nadużywającym swej mocnej woli, indywidualnym bez szrank i bez miary: a znowu bywało, znał stany depresyi, wzgardy życia, ohydę „istnienia bez przyczyny i bez celu". Jednem słowem bywała to i „płowowłosa bestya", zdobywająca rzeczywistość nadmiarem woli, ale bywał to i robak ziemski spokorniały, nienawidzący zażarcie całej „rządzącej koteryi" bogów, dygocący z przerażenia przed śmiercią i jej wszystkimi niezliczonymi demonami. „Sofrozynie" należy w życiu greckiem znacznie już mniejszą przypisać rolę, a zato większą modłom i błaganiom o dobrą śmierć, o *eutanazyę*. Okazuje się, że w greckiej religii pogodnej doszukać się można bez trudu tych wszystkich pierwiastków negacyi życia: „*taedium vitae*" ze względu na których przewagę w chrystyanizmie oświeceni ludzie XVIII wieku podawali jako remedium: właśnie pogodną filozofię życiową Greków. Powoli, z dziś dobrze już odcyfrowanej egzystencyi Greków, występowała w całej swej okrutnej surowości niezbadana transcedentalna Konieczność, żelazne prawo natury, ananke, piorun nieszczęścia w rękach złowrogich, światami de-

spotycznie i tyrańsko rządzącej pancarycy Mojry.

Wyjawiało się, że dyonizejskie Achajczyki, nieustraszeni rycerze, najśmielsi żeglarze i oszukujący hohatera bez litości szalbierze wykomponowali sobie tę świetlaną galeryę życiochronnych bóstw, aby się nimi jak zasłoną metafizyczną, oddzielić od czyhającej, bezwzględnie złej, nawet w obrazie nieuchwytnej a jeno abstrakcyjnej Mojry.

Okazywało się, że sztuka, „eleuzyńska“, bachiczna sztuka jest tylko profilaktycznym środkiem na zalewający wszystkie ogniska życia pesymizm,—lekarstwem na jakieś zgoła średniowieczne *taedium vitae*. Nowoczesna nauka sprawiła, że całkiem nieruchoma, dla Greków leniwie śpiąca Sfinx odmykała na chwilę dziwnych oczu, z których wyzierał bezbrzeżny smutek konieczności życia, ten sam, który dyktował greckiemu tragikowi słowa: „najlepsza rzecz będzie dla ludzi zawsze nieosiągalną, t. j. nie być, być niczem“.

Już fałsz poetyczny o „klasycznej Grecyi“ homeryckiej nikł bezpowrotnie. To już nie byli wcale ludzie marmurowi, recytujący heksametry, ale to był półdziki naród, ledwie z kołyski barbarzyństwa wyszły, rabusi, łu-

pieżczy, krzykliwy, meetingujący, sportsmeński, w nienawiści zaciekły, lubieżny, wymyślny w porubstwie, szalejący w chuci, okrutny w zemście, a pełen najgłębszej wiary w moc upiorów, w zaklęcia umarłych, w igraszki sukkubów, w powroty dusz, w łakomstwo demonów. Przypomnijmy sobie, jak wygląda wobec Erosa konwencyonalnego, t. j. „amorka ze strzałkami w kołczanie“... bożek Eros istotny Eros tragicznej kultury greckiej, Eros z życia i religii Hellenów, Eros Symethy, Safony. To demon młody, ślepy, zły, straszny, koloru ognistego, z groźnemi skrzydłami ptaka drapieżcy, wykluty z przeklętego jaja; ten Eros przylepia się jak pijawka z bagniska, lub wypuszcza na oślep strzały „toczone z cyprysu“, z drzewa grobów, maczane w „roztopionym ołowiu“, a do których się przylepia lub które rani, ci porażeni wpadają omal w stan kataleptyczny... Oto jest Eros tragików greckich.

A obok takiego Erosa lub obok Hypnosa, bożka snu, rodzonego brata śmierci, białego, niewyraźnego upiora, cały korowód demonicznych poczwar, czyhających jeno na podstawienie nogi ludziom, na szkodzenie im, katowanie, ściganie. Kulawa Empuza, Kery, dziewice szkarłatne, wysysające krew

z pod paznokci; olbrzymi, siny upiór Polidegmon, ciągle leżący na ptasich piórach, Oknos przeraźliwy, Lamja libijska, „co w czasie snu wyjmowała oczy ze swej czaszki", i jej potomstwo Lamje ludożercze; a Eumenidy, Erynie, Furye z wężowymi splotami i tyle, tyle innych! A czyjaż to fantazya, jak nie orgiastycznych Greków, wyśniła takie prototypy męczeństwa, jak Tantal, Syzyf, Iksjon, Bellerofon, Danajdy, uosabiające w swojej katordze zasadnicze kształty nieustającej niedoli? Przydajmy tu jeszcze ustawicznie czyhającą *Hybris teon*, zawistną pychę niebian, karcącą bezlitośnie wszelkie nadmierne powodzenie i sukcesy ziemian, tępiącą punktualnie wszelkie zakusy nadczłowieczeństwa, idącą ze stryczkiem właśnie przeciwko wszelkiemu dionyzejskiemu rozpętaniu wolnej woli „ziemian". A teraz cóż pozostanie z legendy o pogodzie „cudownego dziecka" ludzkości, o marmurowych Grekach deklamujących tylko heksametry? Poprostu szczątki! A z poza tych szczątków wyłania się głęboko posępny pessymizm helleński, ich hamowany jeno *sofrozyną* strach, dreszcz przed Niepoznawalnem, Niezbadanem, przed tą niczem nieprzebłaganą tyranką, Opatrznością Olimpu, w rysach swych zbliżoną już

nawet do najokrutniejszych bóstw, do Jehowy i do Allaha. Taka Grecya, drżąca przed Nemezydą, znała błahą nicość szczęścia wszelkiego, wiedziała, że Tanatos, śmierć, ma serce śpiżowe, człowiek jest tylko snem cienia, że wszystko jest vanitas vanitatum, że będą poniżeni ci, co się w boskie sfery podwyższyli. I ta Grecya dlatego szalała w eleuzyńskich mysteryach, i ta jedyną, ostateczną i ogólną ulgę znajdowała w jednej tylko Pocieszycielce utrapionych, Ucieczce grzesznych: w Sztuce.

W tej Grecyi, po raz chyba trzeci odkrytej znowu w Europie między latami 1860 a 1890-ym, genetycznie kiełkują dramatyczne rekonstrukcye legendarne Stanisława Wyspiańskiego, dziś u nas mało czytywane i znane, a za lat kilka—oby—lektura „lubowników" Grecyi w Europie. Te cztery utwory należy któremuś z udalych poetów naszych przełożyć sumiennie na język przedewszystkiem niemiecki, a stanowisko Wyspiańskiego w światowej literaturze jest zapewnione. Obok bowiem nietzscheańskiego ogarnięcia duszy Grecyi w „Narodzinach tragedyi" są Wyspiańskiego tragedye greckie najwspanialszym od Aryjczyków hołdem pamięci dla tego małego narodku, który cały był ge-

niuszem i pierwszy stworzył myt chrystusowy w Prometeuszu.

* * *

Lat temu krągło dziesięć, kiedy młody, cichy, w sobie wszystko rozważający pupil J. Matejki stanął na wymarzonym bruku Mekki artystów — Paryża, dwa miał w duszy ukochane światy piękna: grecki i gotycki; grecki dramat i gotycka katedra, tajemnicza Sfinx i koronki kamienne, piętrzone strzeliście; opanowane namiętnościami postacie ananki i znowu apokaliptyczne „tańce śmierci", „męczeństwa świętych", „ekstazy męczenników". W umyśle świeżo przemedytowane prace naukowe o „nowej Grecyi", i jej tragicznej kulturze, a przed oczyma Notre-Dame i św. Seweryn z ich narodkiem demoników; w pamięci już na zawsze niezapomniane, głęboko w duszy „zagrzebane świątynie" gotyckiego Boga: strasburską, wormacką, moguncką, norymberską, bazylejską, tumy w Chartres, Rouen, Rheims, Amiens... Gotyk i Grecya! Czy młody malarz, komponujący już sobie wówczas w zarysach skroś wagneryczną legendę o Wandzie wiedział o neohellenistycznym ruchu

wśród kilku młodo-francuskich autorów, należy wątpić. W każdym razie w atmosferze intellektualnej unosiła się widocznie silna tęsknota do prostolinijnego tragizmu attyckiego i chętny zwrot do rasowej czystości świata homeryckiego, skoro w tych czasach tworzyli—Peladan: „Edypa i Sfinksę“, Paul Cladel swego „Agamemnona“, Marcel Collière „Syrakuzanki“, Moreas „Ifigenię“, „Ajaxa“, André Gide groteskował Prometeusza i Philokteta, ba—nawet Jean Lorrain z F. Herolldem spólnie stylizowali... „Prometeusza“. Czy o tych próbach pogłębiań psychologicznych czy parafraz starych mytów helleńskich wiedział cośkolwiek młody malarz, patrzący na świat jeszcze chyba pod kątem mistrza Matejki, należy wątpić, nie widząc ni cienia jakiegoś powinowactwa. To pewne jednak, że odgrzebane skarby Grecyi, jakie gromadził w sobie Paryż muzealny, on chciwym okiem młodzieńca, chcącego odcyfrować czystą tajemnicę Piękna oglądał i że cicho i bez oklasku podziwiał wielkie gesty Mounet-Sullego np. w „Edypie“, od tylu, tylu lat zawsze podobno w podziw wprawiając przyjeżdżających nad Sekwanę: barbaros. Poznanie po raz pierwszy „gotyckich sielanek“ Puvis de Chavanna stało się dla jego wewnętrznego

życia artystycznego faktem doniosłego znaczenia; również nie należy pominąć pominiętych przez wszystkich naszych krytyków prac Axela Gallena, fantasty, komponującego posępne i tajemnicze sceny z legend finlandzkich; również i chwytanych w marmurze ekstaz Rodina; jak znowu nie należy lekceważyć silnego wrażenia artystycznego, jakie późniejszy twórca wielkiej galeryi figur greckich musiał odnieść przy często świetnych obrazach, nagradzanych rok rocznie tak wyszydzanemi nagrodami Prix de Rome, a z których większość momenty i motywy z greckich mytów i tragedyi w sposób czasem bardzo dramatyczny, bardzo oryginalny i ekspressywny przedstawiała. Wszystkie te wielkie wrażenia czysto artystycznej natury zostawały w młodzieńczej duszy niezatarte wspomnienia: gotyk niemiecki i francuski, rzeźba grecka z Louvru, legendy staro-chrześcijańskie, starogallijskie i finlandzkie, skamieniałe konwulsye chuci w duetach rodinowskich, dwie czy trzy opery Glucka czy Mozarta o greckim temacie (Alkestis, Ifigenia w Aulis), to wszystko łączyło się powoli pewnemi wspólnemi powinowactwami w jeden mocny i głębiej ludzki świat nowoczesnego wyrazu Piękna, w tem wszystkiem ma-

nifestowała się już wreszcie przywrócona do władztwa w Sztuce Dusza, zdolna do najdalszych ogarnięć, do najistotniejszych bólów i najprzeraźliwszych krzyków radości z życia, no i do... ukochania śmierci. Z tem nowoczesnem Pięknem, które znów nawiązywało zerwane przez demokracki naturalizm węzły, i z majestatem gotyku i z wiekuistemi kształtami niedoli ludzkiej, w legendach utrwalonymi, z tem Pięknem, co jakiś czas odrodzenie swoje przeżywającem a nieodrywalnem od fundamentalnego tła życia ludzkiego—związaną była licznemi powinowactwami dusza Wyspiańskiego, wierzącego, (aczkolwiek może nieco nieufnie), nawet w... krasność dogmatów katolickich. W Wyspiańskim, jak we wszystkich w wielkim stylu męczennikach Sztuki, leżały na dnie duszy wszystkie warunki-zalążki na poganina obok wszystkich danych-zaczynów na chrześcijanina; twórczość jego zczasem byłaby się stała ustawicznym bojem tych dwóch rozrosłych w nim pierwiastków, gdyby nie nagłe rozbudzenie się w artyście, widzącym tylko muzykę kształtu i barwność zjawisk, gdyby nie rozbudzenie czującego otchłań niedoli polskiej druida. Z tą chwilą chrześcijanin przemógł z nim całkowicie miłośnika czystego Piękna, a Pol-

ska stała mu się „rzeczą wielką“, konieczną, religijną. Ponieważ zaś wszystko, co związane z tą Polską

...co w mem łonie
Na samo wspomnienie
żywiej porywa krew i sumienie
ostawia wiecznie czyste.
Ojczyzna, Ilion
żywe i wiekuiste...

wszystko to mieściło mu się tylko w grobach i „sklepiskach“, w świętych a przeklętych rumnach i truchłach dziejów, w przeszłości niepowrotnej — i ponieważ wiązało się setką asocyacyi ideowych ze śmiercią, chorobliwością, butwieniem, przepadaniem, przeto znowu ucieczki przedtem, życia, zdrowia, mocy, jasności szukał i odnajdywał w Grecyi: w niezniszczalności jej symbolistyki, w dyonyzejskim pierwiastku jej herosów.

Jak ten bój pomiędzy plastykiem-artystą a poetą i kochającym cierpienie bliźnich i niedolę blizkich chrześcijaninem toczy się w nim ustawicznie, to odczuwa się ze stałej równoczesności obmyślania i greckiego i polskiego tematu. Mniej więcej na jednę ucieczkę, schronienie się od widma ukrzyżowanej Polski w świat legendy greckiej przypadają dwa lub trzy tragiczne zapasy z tym

widmem tęskniącego do dyonyzejskiej przemocności Hellena-malarza. Na Legendę i Warszawiankę, te dwie szczere perły geniuszu muzykalnego, które ten bogacz słowa polskiego rzucił przed współczesne mu rodactwo—przypada jeden *Meleager*, na Lelewela i poematy królewskie o Truchłach Wielkim i Śmiałym, przypada Protesilas i Laodamia; z czasem decyduje się posępnego „Wesela“ *aojdes*, harfiarz Wenedów—Wandalów na skojarzenie tych dwu potęg, rzekomo sobie obcych. I ta dantejska próba „Akropolis“ jest, alegorycznie wzięta, jakimś przewspaniałym tytanicznym snem o Polsce zmartwychpowstającej przez odrodzoną tężyznę fizyczną, przez wolę śmierć przezwyciężającą, przez miłość płodną, przez twórczość spotężniałą, przez dyonyzejskie wytężenie życia i przez moc, przez zdrowie. Wstęp do „Akropolisu“ i potężne, oratoryjne, grane przez pełną orkiestrę wszystkich natężeń uczuciowych zakończenie tego dzieła jest omal Testamentem ze wskazaniami bardzo pozytywnemi, życiodajnemi; aczkolwiek samo dzieło w formie swej chybioną i rwącą się próbą syntezy dwóch światów myślowych, nigdy się nie syntezujących, a więc nigdy swej dojrzałej godnej formy

odnaleźć nie mogących. Przewijają się w następnych dramatach motywy greckie, ale całkiem już schrystyanizowane, niejako wytchnięcia w męczących i dławiących rozmyślaniach nad polską Nemezydą, okrutnie się na spółczesności mszczącą. Dopiero w „Achilleis", w tych dwudziestu pięciu silnem tchnieniem genialności ożywionych płaskorzeźbach, odżywa w całej swej przesłonecznej, lśniącej jasności, mocna dyonyzejska Grecya wojacka i junacka, muskularna, harda, z bóstwami spoufalona, by, niestety, w miejscami całkiem już nadpsutym, a miejscami jednak prześwietlającym słońce: „Powrocie Odyssa" schmurnieć, zciemnieć, zmącić się, zmistycznieć.

Co jeszcze tak mocno a miłośnie wabiło spółczesnego nam ostatniego z romantyków do pozornie zagrzebanego świata greckich cyklicznych mytów, to nietylko ten w nich urok jednolitej, skończonej czystej rasowej kultury, działającej jak krystaliczna, zdrojowa świeżość oazy w pustynnej persczyznie naszych czasów, ale także ta pierwotność, szczera fizyczność, impulsywna prymitywność i nawet chłopskość heroicznej egzystencyi zarówno bożyców, iljadowych półbogów, jak i postaci z późniejszych formacyi i kolisk mytycznych. Świat

ten greckich wąsalów i dziewek, królów i kralek, wojów i witeziów, wojowniczych parobków i kłótliwych gospodarzy-gazdów podobnym zdał się Wyspiańskiemu do pierwopoczątków lechickiego bytowania głównie tym ustawnym związkiem i komunikacyą z tłem metafizycznem, z krainą nadnaturalną, tem wpół zbożnem, wpół poufałem ciągłem porozumiewaniem się z potęgami transcendentalnymi drogą guseł i czarów, zabobonów, zaklinań, zamawiań. Wielość analogii między symbolicznymi obrzędami lechickiej Słowiańszczyzny a eleuzyńskim i przedeleuzyńskim ceremoniałem religijnym, mnogość wspólnych i podobnych symbolów dla potęg i zjawisk nadprzyrodzonych, krewieństwo mitologiczne pralechickiej i starogreckiej koncepcyi wielobóstwa uczyniło Wyspiańskiemu świat homerycki podwójnie blizkim, potrójnie drogim. Terminując długo w greczyzny „znanych komnatach" upodobał sobie najserdeczniej wszelkie podobieństwa między ubóstwianymi symbolami sił przyrodowych np. Afrodis a Żywią, Djaną a Marzanną, Posejdonem a Swentawitem, ba — choćby nawet między t. zw. lajkonikiem krakowskim a trojańskim koniem Posejdona! Szczególnie uwidacznia się to w „Achilleis" i w „Po-

wrocie Odyssa", w których genialny poeta dochodzi do takiego jasnowidzenia życia homeryckiego, istotnego przepojenia swej imaginacyi duszą iljadową, że bliższym jest temu epicznie chłopskiemu światu, autentyczniejszym i wiarogodniejszym od trójcy tragików, wyszłych z burżuazyi ateńskiej. Oczywiście, zdanie takie bakałarskiemu sposobowi oceny ustosunkowań i zjawisk literackich wyda się wprost kakofonią i blasfemią. Rzetelność jednak tego przyznania Wyspiańskiemu większej bliższości duchowej do Homera od trójcy tragików greckich mało chyba zakwestyonowana będzie dla tych, którzy wezmą się do czytania równoczesnego i Iljady i iljadowych dramatów polskiego poety. Autor „Achilleis" uwzględnia najsilniej i najszerzej chłopskość bytu greckich wojewodów-basileów i wojów achajskich, którzy od opól, dworów, zagród i śpichrzów, porzuciwszy pługi i lemiesze, skopy i trzody wyruszyli w hałaśliwych, kłótliwych gromadach na rozbój i łup bogatego a zniewieściałego miasta, gdzieś za siedem wód, pod pretekstem, że na jednego z pośród władyków, mykeńskiego gospodarza spadła hańba przez porwanie mu małżonki. W pokoju znowu żyjąc, gromady te ludzkie wiodły cny i cichy żywot

Piastowski. Jeno tam w Grecyi na tle marmurowych kolumnad i tarasów akropolisowych („Meleager“), a tu („Legienda“) na tle izbisk drewnianych na wawelskim dworcu. Oto skąd bierze się podobieństwo między starym, osędziałym, blizkim grobu witeziem Oeneasem a naszym Krakiem w ich głównych syntetycznych zarysach, albo między Wandą a Atalantą, tymi Amazonkami, ofiarnie odrzucającymi dla ideału nieskazitelnego męstwa wszelkie miłosne żary, temi smukłymi heroinami wonnego dziewictwa. Oto dlaczego tak krzepką, ziemistą polszczyzną szermują ze sobą waleczni junacy w namiotach pod Troją lub w dworzyszczu Odyssa gachy koło Penelopy, lub chór asystujący tragedyi na grodzie we Phylace. Jeszcze u Słowackiego w tłumaczeniu - parafrazie pierwszej księgi Iljady (do którego Wyspiański skomponował tak odrębne, tak posępne w swej potędze illustracye), język mimo wszystkie swe tęczowości i opalizacye ma cały szereg konwencyonalnych dźwięków, zgoła obcych i nic spólnego nie mających z epicką, starą pierwotnością iljadowych rapsodów; np. tyran, flota, fatalny, girlandy, suplikant, wotywa, herold, trybunał, forteca, przywilej, pałac, dekret, autokrata, sakramentalny... Ani je-

dnego tak rażąco nowoczesnego słowa nie znaszedłby w dramatach helleńskich Wyspiańskiego. Raczej chropowate dźwięki autochtonicznej chłopskiej mowy, raczej ciężkie, gruzłowate, szorstkie tony z kazań ongiś wykrzykiwanych w modrzewiowych zborzyszczach, byle żadnych dźwiękowych „ładności“ i gracyi, żadnych ułatwień dla miejskiego, miastowego „inteligentnego“ ucha. Tylko ze słów bogatego i rdzennego pierwosłowia ludowego czerpie poeta tok rycerskiego, rytmicznego, rasowego mównictwa swych postaci.

Już w pierwszej Wyspiańskiego transkrypcyi starej klechdy greckiej, w „Meleagrze“ (Paryż 1894), w którym przy końcowych scenach kołacą się może jeszcze echa akordów maeterlinckoskich, stwierdzić można bezwzględną różnicę, jaka zachodzi między jego reorganizacyą legend helleńskich a podobnymi zakusami dotychczasowych twórców. Porównując Wyspiańskiego dramat: Altei, jej syna i jego miłośnicy Atalanty — z dramatami zresztą bardzo udatnymi i mocnymi Swinburne'a „Atalanta in Calydon“ lub Faleńskiego „Altea“, wraz dostrzega, się z jak ostrożnym i szacownym pietyzmem obchodzą się z przekazanem tworzywem tamci dwaj

rówieśni sobie poeci, a z jaką wolą przekształcającą i przemianującą poczyna sobie Demiurgos naszego dramatu. Już w „Meleagrze“, utworze jeszcze niosącym w sobie wszystkie cechy pierwszej próby nieśmiałego na nowym terenie malarza, zarysowuje się całkiem stanowczo wielkopański i swobodny stosunek poety do surogatu legend. Okazuje się bowiem, że Wyspiański nie poprzestanie na jakiemś eurytmicznem galwanizowaniu „dla teatru“ opowieści o matce, która w szale gniewu gubi syna, idącego za popędem tylko ekstazy miłosnej... gubi, wypalając symboliczną głownię...; nie, on nie przebudowuje, ni przerabia tej opowieści, ani jej nie unowocześnia, ale przemedytowawszy całą i zestawiwszy wszystkie jej emocyonalne wartości, ale i wszystkie dowolności, koryguje myt psychologicznie, przedstawia pewne siły działające, pogłębia i zintenzywnia przedewszystkim kolizye. Legendarnych ludzi uwalnia z nadmiaru ściśle witalnej, ślepej energii czynu, ze zwierzęcej wybuchowości uczuć i namiętności, odczyszcza ich czyn dramatyczny z bezcelowości i podnosi swym postaciowaniem w wyższą sferę hierarchii psychologicznej. W dwuch pierwszych tragedyach: „Meleagrze“ i „Protesila-

sie“ są jeszcze koturny dyonyzejskiego teatru i w wielkim stylu deklamacyjny a raczej eksklamacyjny patos wybuchających, jak gejzery uczuć; i są maski stężałego, klasycznego grymasu tragicznego. W dwuch następnych jednakże utworach, w „Achilleidzie“ i „Powrocie Odyssa“, patos ustępuje miejsca wytrawnej analizie psychicznej, koturnowość konkretnemu realizmowi, niepokojące ale przepyszne assocyacye wizyjne poety—logicznemu przeprowadzeniu głębokich i poważnych procesów duszných.

Wyspiański staje przed gotowymi legendami greckimi, jak rzeźbiarz; nie wobec grupy, którą już tylko może z pewnymi zmianami lub w innym materyale obrobić czy odlać, ale jak rzeźbiarz przed całkiem nietkniętym materyałem, przed marmuru dziewiczym złomem, który decyduje się po raz pierwszy kształtować, zostawiając kawały bryły po Rodinosku omal nieobrobionymi (chóry początkowe w „Meleagrze“). Konstruuje tedy myty achajskie i późniejsze w sposób nietylko apodektyczny, ale nawet przekorny, odwartościowując śmiało te różne szczegóły, które w spadku i transkrypcyach i obrobieniach poprzednich poetów wiele niezasłużonego zabierały miejsca i wiele mia-

ły niepotrzebnej wagi, potęgując te momenty, które aż do niego lekceważono i przepuszczano; nadto—dotwarzając motywy tam, gdzie był ich rażący brak i w ten sposób dopełniając w kompletny nowy obraz cały kształt starodawnej fikcyi. Prócz tego psychologicznego pogłębiania, wypełniania i komplikowania kolizyi legendowych, całe ich akcye przesuwa i cofa poeta w jeszcze odleglejszą dalszość, w jakieś omszałe praczasy, w których ingerencye bogów objawiały się jeszcze na każdym kroku, współżycie ziemian z niebianami było wiarogodniejsze, mury miały jeszcze pelazgijskie formy, królowie byli pół-pastuchami, bohaterowie jeszcze koniokradami (Tezeus). Do tego upierwotnienia, łączącego się organicznie z uludowieniem, pomógł poecie walnie dzisiejszy stan nauki analitycznej o Grecyi po różnych odkryciach, rozkopaniach, odczytaniach nawet z naczyń i t. p. W ten sposób pierwszy Wyspiański z twórców nowoczesnych dokonuje planowej demokratyzacyi herosów greckich przy równoczesnem podniesieniu ich w szlachectwo najwyższej, natężonej uczuciowości i p r z e m e d y t a c y i c z y n u. Lud, w swych pierwopoczątkach wszędzie rówien, takim musiał być w starej Grecyi, jakim był

pralechicki; chłopstwem junaczem z „Iljady“ musiała rządzić ta sama psychoza heroiczna, którąby wiodła piastowskie drużyny pod obuch Przeznaczeń. Słowiańszcząc Achajów, przydaje im Wyspiański „Il Rovinante“ „wstrząsający tym światem“, jeno jedno, t. j. inteligencyę; wielkich czynami przemianowuje i na wielkich myślą i zdających sobie sprawę ze swych zmagań uczuciowych, zagadek dusznych, tajemnic...

* * *

Zastanawiającym oczywiście będzie stosunek Wyspiańskiego do pytań zasadniczych w dramacie, do kwestyi wolnej woli, Losu, Przeznaczenia, Konieczności, związku winy i kary, regulujących bieg dramatyczny sił wyższych, nieodgadnionych przyczyn wszechdziałań i wszechniedoli. Tu można, zestawiając pierwszy i ostatni z jego greckich dramatów—„Meleagra“ z „Powrotem Odyssa“ zaobserwować zastanawiającą, niewstrząśniętą stałość w poglądach poety. Tragicznej niedoli ogniowego spalania się Meleagra konstruuje Wyspiański przyczynę w w i n i e o j c a, który pojąwszy za małżonkę dziewicę, poświęconą Dyanie, złamał złożony przez się

ślub nietykalności tej zakonnicy Dyany, i z tą dziewicą, Dyanie poślubioną, spłodził syna. Za ojcowską winę ponosi karę syn, pchnięty w śmierć właśnie przez matkę, wrogą aż do mściwego zapamiętania odradzającemu się w miłości syna do Amazonki grzechowi ojca. Jest to splot tragiczny, którego pierwszy zaczątek leży w obrażającej Dyanę chuci cielesnej Oeneasa, w jego złamaniu ślubów; Meleager jest bezwolnem narzędziem pomsty Boginki, jakimś w Phylakę przeniesionym Oswaldem z „Upiorów". To samo w „Powrocie Odyssa". Aczkolwiek tu już przychodzi do prawa i szekspiroski aksyom: *character is destiny*, aczkolwiek w samym Odyssie, jego bałwochwalstwie siły i rozumu, jego tyraństwie, okrucieństwie, w tem, że „krzywdą świat zmógł", „przez podłość szedł z jasną twarzą", „deptał świętości cudze", „nie uszanował nigdy nic w człowieku"—leży już jego dola i kara: tułactwo, to jednakże w świat pędzi go przekleństwo rodowe Laertyadów, obciążenie rodzinne, to wszystko, co jest poza nim od niego niezawisłe, „Los żywot zagradzający". We krwi spadkiem otrzymanej, w popędach od woli niezależnych, w „duchu spętanym męką w obłę-

dzie“ — leży „Los-Dola“, wieczna krzywda człowieka.

Jest w tem postawieniu przeciw sobie stałem winy i kary i zbliżenie się do Calderonowskiego Boga, karzącego w *autosach* najstraszniej każdy ślub religijny złamany, każde tknięcie poświęconej Bogu osoby. Ale kara ta Boska czemuż pada aż w dzieciach, aż w drugiem pokoleniu? Oeneas widzi się ukaranym w zdruzgotanem szczęściu Meleagra, Odyss widzi wszystkie swe złe instykty, wszystkie swe łupieżcze pędy i tygrysie głody krwi ludzkiej, odzywające się w dojrzewającym Telemaku. Priam stary patrzeć musi na pożogę wszystkiego, co ukochał, i na ofiarę Hektora za tolerowaną rozwiązłość Parysa. Tragika grecka zbliża się do tragiki gotyckiej; wielki cień mstliwego, nieubłaganego Jahwy przysłania słońce nad akropolisami siedzib i gniazd helleńskich. Wyspiański całkiem przyjmuje formułę Dantejską: *Contro la fatte non si da del cozzo*, uwalnia jednostkę od wszelkiej odpowiedzialności, wyrzuca liber arbiter po za burty swojej nawy poetyckiej, a jako jeden wielki motor porządku wszechświatowego, występuje potężna, stara: *zawistna pycha bogów*. Nad nieszczęsnymi głowami ziemian kołują mści-

we bóstwa. Korzenie występnych ludzkich szałów, ślepych wyładowań energii, niedól niesłychanych, leżą w odwiecznem, niezbadanem przeznaczeniu, w Konieczności. Niema nici Aryadny w labiryntach dusz ludzkich, prócz tych, które w swych dłoniach słabych dzierżą poeci. Lecz i wiara w traf ślepca-przeznaczenia może stać się skarbem maluczkich i twardym moralnym stanowiskiem, z którego także wyrasta chęć wyzywania zuchwałym czynem ledwie drzemiącej Mojry, igrania aktami woli z „pychą bogów", równania się z nimi ogromem spełnianych przekształceń, wykradania im tajemnic „ognia" i tajemnic kunsztu rządzenia globem. Że zaś tylko „pychą bogów" tłómaczyć da się często ich na ziemi gospodarka bezmyślna i zbrodnicza, tego dowodzi dola, los, wieczna krzywda Achillesa, kiedy go czyni zabójcą jedynie mu równego strzelistością ducha i czystością bohaterstwa junaka — Hektora.

No, tego zresztą dowodem i życie katorżne ostatnich lat seraficznego poety Wyspiańskiego, co się u bogów upominał za Polskę... Albo i życie innego Grecyi miłośnika Nietschego, co bogom „za skarlenie ludzkości wygrażał". Pychą bogów tłóma-

czyć też da się jedynie przedwczesną śmierć tylu ich „ulubieńców“ jak Chatterton *Shelley*, Novalis, Garszyn, Garczyński, Lermontow, Hegesyp-Moreau, Laforgue i tylu innych...

* * *

Twórca, tak wysoce moralnie dysponowany, jak Wyspiański, tak czujący na sobie brzemię odpowiedzialności, broni się bardzo mozolnie i uparcie przed tym rdzennie greckim poglądem fatalistycznym o wszechwładztwie Przeznaczenia i nieodpowiedzialności jednostki ludzkiej. Mstliwą złośliwość Nemezydy stara się zawsze umotywować wiązanką pewnych wielkich przewinień ludzkich, pewnych niedozwolonych wybujałości energii ziemskiej, pewnych zakusów do n[illegible]szczenia równowagi i normalnego porządku świata. Jest jakaś, zbliżona do buddyjskiej Karmy sprawiedliwość odwieczna, która tych, co zbyt wysoko jak drzewa wyrastają, ściga „Bożych groźba kar“ i „bije najszybszemi grotami“. Nawet miłosna, ale straszliwa obsesya Laodamii, ośmielającej się niszczyć zakon śmierci i przywracać istność bohaterowi śmiercią unieśmiertelnionemu, nawet

ta jej furya seksualna, kończąca się aktem samozniszczenia, ma swą przyczynę jeszcze w przekleństwie jej ojca, króla Akastosa, któremu ją, córkę najmilejszą porwał miłośnik Sławy: Protesilas. Dlatego też nie spóźnia się Los w wymiarze sprawiedliwości nad Odyssem, tym współobłąkanym rzecznikiem i fanatykiem siły, wielbicielem i wyznawcą mózgu ludzkiego, materyalistą — nadczłowiekiem.

I z tym u niego pojęciem sprawiedliwości nie mogło być inaczej. Wyspiański wchłonął w siebie całą chrześcijańską duszę gotyckich katedr. Wszystka średniowieczna sztuka askètyczna, której był wielbicielem, mówiła mu o odpowiedzialności jednostki, o Bogu „cierpliwym ale sprawiedliwym", protektorze *liberi arbitrii*. Te wszystkie „Apokalipsy", „Piekła", „Tańce grzechów", „Kuszenia św. Antoniego", „Widzenia z Pathmos", „Sądy Ostateczne", mocno w duszę zapadłe, nie pozwalały mu przechylić się całkiem na stronę poganizmu i panfatalizmu Chrześcijanin tedy opisywał pożogę miłosną Laodamii, a gotyckich świątnic częsty gość tworzył Meleagra głód sexualny właśnie nienaruszonej... niedostępnej bogini. W tych dwóch Wyspiańskiego elegijnych poematach

kochania, gotycyzm rozplenia się jak bujny chwast romantyczny, oplatający pozornie białą smukłość kolumny koryncklej. Ta helladyczność z Meleagra i Protesilasa bardzo jest krewną germańskiej helladyczności niemieckiego miłośnika greckiej kultury tragicznej Boecklina, nie przestając być równocześnie najautentyczniej grecką nawet w swej widziadlowej skabryczności, w niesamowitości przykrych, wywolanych z durów chorobliwej fantazyi zjawów pieklowych. Moc wizyonerska poety i jego przekorne umiłowanie ewokacyi zaświatowych nie jest tu jakąś żądzą spotęgowania wrażenia do ostatnich granic wytrzymalności, ani też jakiemś romantycznem igraniem groźnością akcessoryi, pobranych z drugiego świata, nie jest zmyślnem zbogacaniem sobie i zwielokratnianiem środków ekspresyi... represyami artystycznymi nad widzem „zjadaczem chleba“, „czcicielem pieczeni“, ale jest logicznem wyjściem z chrześcijańskiej wiary w to, że świat za grobem realniejszy jest i wartościowszy od świata przemijającego, że obszar wizyi państwem najniepodzielniejszego, nieograniczonego władztwa duszy, a wyjątkowa, raz-nawieczna, dantejska moc szczerego, natchnionego wizyonerstwa uprzywilejowaną dziedziną tej

sztuki istotnej, która, jak istotna nauka i istotna filozofia jest religią, zakonem, a egzystencyi wiernych czy wyznawców, nawet nie przyjmuje do wiadomości, zgoła lekceważy. Dlatego nie z dramatyki Słowackiego wywodzi się rodowodem dramatyczny ogrom twórczy Wyspiańskiego, ale wprost i bezpośrednio z jego umiłowania, ukorzenia się i z jego wiary w przemoc zaświatości, w znikomość doczesnego błyskawicznego bytu, w piękno chrześcijańsko-katolickiej koncepcyi życia. Jak średniowieczni kunsztarze kościelni bywali wprost oblęgani rojowiskiem majaków i zwidzeń apokaliptycznych, tak i nad fantazyą młodego poety polskiego chybotały się wciąż najprzykrzejsze zjawy gotyckiego Inferna na lelkowatych skrzydłach. Słońce Grecyi pasterskiej zakrywała mu wciąż wielka Maska czyhającej Śmierci, a jego imaginacya, mówiąc słowami z „Bolesława", istotnie szła wciąż „pod rękę z trupem".

I ten nadmiar śmierciowych obrazów i zwidzeń zrzucał ze siebie miłośnik Grecyi Wyspiański z taką imperatywną koniecznością i szczerością, z jaką w średniowieczu kamieniarze, rzeźbiarze w drzewie, składacze mozaik i malarze illuminaci lepili i klecili swoje hallucynacyjne maszkary, zwierzę-

ce kombinacye, wnętrza piekielnych katowni, porubstwa szatańskie, bitwy smocze i antropomorfizacye różnych abstrakcyjnych pojęć.

Posępny nokturn Meleagra przy całej swej starogreckiej surowości ma w sobie szczególnie od sceny z Atalantą niepokojącą pełnię dziwadłowości i wzrastającą temperaturę febrycznego nastroju. Wichr uczuć młodzieńczych rwie za sobą wszystko, co na drodze i porywa. W gorącości klimatu i smętku upalnego wieczoru wszystko przybiera fatamorganatyczne zarysy. Amor-Tanatos jedyny wygrywa sprawę. Mało tak pięknych duetów opętańczej miłości w poezyi świata, jak ten głód do Atalanty w umierającym Meleagrze, ta agonia zapadająca w melodyjnych, całkiem już w muzykę zaklętych słowach, to finale żegnania się ze światem. W Laodamii odpada już pewna szorstka prymitywność Meleagra, ale zarazem i tegoż tragedyowa klasyczność. Duch Eschyliczny przenika jeszcze jak i w poprzednim utworze, organizm dramatyczny, ale tu już nie Sofokleiczna matrona (jak Altea), ale kobieta Eurypidesowska, jak Alkestis, Euadne, Makarya, Ifigenia, ogniskiem jest tragiczności. Jest to jakoby Fedra przetransponowana z *dur* w *moll*, nie znająca miary w tęskniącej chuci, krzykami

krwi napełniająca wdowi dom. Wreszcie nieprzytomna, niebaczna ewokuje sobie młodzieńca-małżonka ze świata drugiego, nietykalnego, a majaka tylko dostawszy na tę somnambuliczną schadzkę, przechodzi sama w krainę, której spokój poważyła się naruszyć śmiałością swych szałów i żądań. I tu w Protesilasie upiory rządzą nad wszystkiem, rozpościera się niebo apokalipsowe, zmorny nastrój nie ustępuje ani na chwilę, „śmierć miłość ukajająca" jest jedynem wyzwoleniem, a Laodamia-Izolda w swej obsesyi miłosnej podobna do jakiejś głodnej, upiornej strzygi. Wizyjność hypnagogiczna Laodamii ma nietylko swój niewysłowiony czar, ale i swoją prawdę, logikę i konieczność; utwór jest równie grecki, jak gotycki.

I teraz oto, ten sam poeta, który napisał *Protesilasa* i *Meleagra*, jest też twórcą *Achilleis*! Zważmy, że w przeciągu lat kilku umie on przemóc w sobie cały pęd do Grecyi dziwadłowej, niesamowitej, pełnej nocnych i ciemnych fantasmagoryi z wielobóstwej mitologii, przemódz w sobie lubownictwo koszmarów i poczwarności gnębiących a rozpostrzeć ramiona i rozróść się w rozsłonecznionej, złotem skrzącej, pogodnej i ozonowej Achilleidzie?...

Jest taka różnica między kolorem dwuch jednoaktowych nokturnów poprzednich a olimpijską rapsodyą Achilleidy, że można ostatnią uważać niejako za antytezę poprzednich. Nikną tu już zupełnie te wszelkie zielonawozgniłe lśnienia, jakie się nawijają ciągle oczom przy poprzednich utworach; cała ich muzyka wewnętrzna b-mollowa przechodzi w jakieś ogromnie rytmiczne allegro, wszystko się pławi w blaskach wschodniego uzdrawiającego słońca. Dziwnie harmonijny, „spokojny, spokojny a czysty“ jest ten korowód ożywionych płaskorzeźb, ten natchniony kalejdoskop bytu heroicznego z pod Iljonu. Psychognozis Wyspiańskiego w sprawach najtajniejszych umiłowanej duszy greckiej święci pogodne tryumfy w tym uproszczeniu, odkoturnowaniu i przybliżeniu ku doczesności i przyziemności dramatycznych zmagań i konfliktów między wojami, wąsalami, starymi sybarytami, kapłanami, królami i dziewkami nałożnemi. Prawdziwy to taniec miłości i rycerskości, rozkoszy Parysich i śmierci Patroklowych, szczytności Hektorowych i płaskości Tersytesów.

W Achilleidzie niema już wcale tego przypadkowego czasem kojarzenia się myśli twórczych, jak niema śladu z hallucynacyi

obrazowych, ni z lubego grzęźnięcia w mrokach. Ale jest jakieś jakby upojenie się młodą siłą młodych, zwiastowanie zdrowia, radość z czystości i jednolitości opiewanego, a tak kulturalnie zamkniętego koliska. W tych orficznych jaselkach trojańskich pulsuje i tętni krew żywa i krasna; figury o zdrowej cerze, bez hektycznych wypieków żwawo i krzepko poruszają się na arenie wojennego życia, najprzeróżniejsze w swej duchowej maści. Jest w ich skali szerokiej, a tak rafinowanej i skrzydlatość górnej duszy Hektorowej, jest i owadzia lubieżność spermatowego monomana Parysa, jest Nestora starcze marazmatyczne komedyanctwo i dziecięca niewinność Troilusa; jest chytry rozum stanu Odyssa i jakaś rozmyślnie „wszechpolska" wrzaskliwa demagogia Tersytesa. Wszystkie charaktery rozwijają się zwolna pragmatycznie w bogatej, rozgałęzionej osnowie; niema żadnych w bok dewijacyi, żadnych zbytecznych szczegółów, czy epopeicznej deskrypcyi dusz. Czyn tylko ludzi tłómaczy, nie słowo rozgadane. W dyalogach słychać szczęk pojedynkowy, szybkozwrotność i sprawność przewalczania każdego słusznym argumentem hartu heroicznego. Niektóre obrazy tych dramatycznie tak dzia-

lających gobelinów są tak przenikliwemi jasnowidzeniami zdrowej i czystej duszy ludzkiej, że mało chyba ksiąg literatury polskiej, któreby tak wychowawczo mogły działać na kształtowanie się młodzieńczej psychiki bohaterskiej i hartownej męskości, na t. zw. *aristeuein* — jak chorego tytana Wyspiańskiego skroś hosannowe dzieło: Achilleidy. Przejrzystą jest konstrukcya, zwartą więźba tego jakby karuzelu dramatycznego, w którym już poznane grupy znów nasuwają się przed oczy i nikną, a występują znów inne. Najprostsza architektonika, wzięta chyba nie przypadkiem, ale rozmyślnie ze staropolskich jaselek, pozwala nam śledzić cały rozwój tragicznych perypetyi, widzieć właśnie w kolizyach małych spraw wszystkie blaski królewskich dusz u sępich bohaterów, pozwala śmiać się z knowań i matanin pomniejszych kreatur, cieszyć się jurnością nieokielznanych junaków; wreszcie i podziwiać, jak zgodnie z duszą helleńską, z duszą Sofokleiczną, zgodnie z tem częstem a czysto greckiem wcielaniem się bóstw w ludzi a przemianą nadludzi w półbogów, zdobywa się paladyn w poezyi Wyspiański na kończące pieśń apoteotyczne utożsamienie

Heleny, ziemianki łakomej na Priapa ze samą boginką Afrodys.

Dlatego, kiedy można jeszcze zrozumieć nieufność pewną krytyki filologicznie „obciążonej" do poprzednich dramatów Wyspiańskiego, więc Laodamii (jako Fedry podniesionej do kwadratu... macinnictwa), lub Protesilasa, (jako utworu zbyt przeciążonego elementami malarskimi, skrajnie Eurypidesowskiego pod względem dynamiki uczuć a monotonnego w tonie), to w zestawieniu do Achilleidy wszystkie te zarzuty nikną wobec realnej muskularności akcyi, jasnego, niekiedy nawet radosnego nastroju, świadomej prostoty i klasycznej jędrności języka polskiego, który, ominąwszy w Achilleidzie całe stulecie romantycznego rozdelikacenia, rozliryczniena, rozelzawienia, nawiązuje stanowczo i genialnie zerwanie nici z językiem wolnych, mocnych starych pradziadów: Kochanowskich, Rejów i Potockich.

To samo zaś stosuje się i do psychologicznie najgłębszego greckiego dramatu Wyspiańskiego, do: Powrotu Odyssa. Przeklęta dola nadczłowieka, który ogniem, mieczem i rozumem funduje swemu najszerzej pojętemu środowisku, bo swojemu plemieniu, zwycięstwo, męka spętanego ducha, który

ważył się swój przeklęty przez rodzica los łączyć z dobrem ogólu i zapragnął oczyścić swą duszę w ofierze ojczyźnie — rozprowadzona jest w trzech całkiem różnobarwnych, atoli mocno skoncentrowanych aktach w instrumentacyi językowej najdoskonalszej, najrdzenniejszej. Biblijnym jest duch tego „Powrotu Odyssa", biblijną jego atmosfera moralna. Ze starych drzeworytów powstał w nim akt drugi, tak żywy i tak całkiem realistyczny, omal holenderski; skroś religijną kantatą jest akt trzeci, w którym przepaścisty ból człowieczy, smęt i hańba wiecznego wygnańca, skazańca i „tułacza z własnej woli" rozpływa się panteistycznemi zwrotami w niedoli całego świata, całej przyrody.

Wyolbrzymienie postaci Kallypso do rozmiarów synonimu nieśmiertelności, wielka buntownicza pieśń niedoli skazańczej, zaintonowana po prometejsku przez Odyssa, rozśpiewania liryczne Okeanid czy fal (do Achillesa), to wszystko są emanacye tak górny i podniebny lot biorącej fantazyi, tak skroś stwórczego natchnienia, przedzierającego jasnymi promieniami zwał ciemnych, mętnych chmur na sklonie greckiego legendarnego świata, że dopiero teraz poznać

można, jak te stare „znane komnaty“, jak ten świat helleński, pogrzebany już arlekińskim śmiechem Offenbacha, nudnymi elukubracyami niemieckich Dichtungs-doktorów-docentów i śmiesznością librett dla francuskich oper...—odżyć znów może w całej swej krasie i tęgości na jeden czarodziejski nakaz genialnego twórcy, i to nawet z „najmłodszych Aryów“ pochodzącego.

* * *

To było do powiedzenia n a r a z i e o puściźnie tragoedyi greckich jedynego w naszem pokoleniu poety na miarę wielkich romantyków. Jedynego, który pierwszy odczuł na sobie Kaudyńskie jarzmo romantyzmu i pierwszy je z siebie otrząsnął i zrzucił. Księga praw i prawd Wyspiańskiego jest jeszcze dla ogółu zamknięta. Zadaniem najbliższych czasów będzie ze strony tylko tych, dla których był on Żywem Słowem, wytłómaczyć się przed społeczeństwem, dlaczego są w y z n a w c a m i Wyspiańskiego i gdzie w twórczym skarbie dzieł jego widzą zalążki przyszłości, materyał konstrukcyjny dla kształtowania zdrowszej duszy polskiej. Na monotonny w uporności swej, a półgębkowy

pomruk o Wyspiańskim, poecie Mroków Śmierci, należy z dziel jego, jak ze skrzyni kutej, pelnej zlotych lańcuchów, i kosztowności wyluskać najrzadsze klejnoty rdzennych wychowawczych maxym, potężnych polotów myślowych, śmialych zapuszczeń się w głąb duszy ludzkiej. Jest tych drogich a rzadkich kamieni tak wiele i w greckich dramatach, że z nich samych ułożyćby można Wyspiańskie Breviarium.

W niniejszej, pierwszej po śmierci i utracie próbie zdania sobie sprawy z jednego tylko rozdzialu twórczości zgaslego męczennika, starano się obraz jego wskrzeszania greckich mytów polskiem dramatycznem slowem zarysować zaledwie impresyą, ze stanowiska raczej milośnika. Rzeczą krytyki analitycznej, gruntującej ale oczywiście nie wychodzącej z typowo „warszawskich krytyków i recenzentów“ będzie dać w blizkim czasie syntezę psychologiczną *neohellena* Wyspiańskiego.

A nie jest ten obowiązek duchowy jednym z przelicznych, które swobodnie odklada się na lepsze, dalsze czasy. Wytworzenie tego w inteligencyi polskiej, coby nazwać można: kulturą Wyspiańskiego, będzie pożądaną i mocną tamą przeciw idącemu na

duszę polską i rosnącemu w naszych oczach niszczącemu zalewowi jakiejś wszechslowiańskiej psychozy, w której objęcia pcha nas pocieszycielka utrapionych, rozwielmożniona przez sto lat katorgi sentymentalność.

Nie należy inteligencyi naszej odstraszać się i zniechęcać tym, że w całkowitem dziele Wyspiańskiego nie możnaby na lekarstwo znaleść nic z dnia dzisiejszego, tak nic z żywota Polanieckich i Podfilipskich, jak nic z żywota Pochroniów. W patetycznej w najdostojniejszem tego słowa znaczeniu poezyi jedynego wielkiego twórcy naszych czasów, jedynego królewskiego pomazańca pieśni, w tej patetycznej ale i dynastycznej poezyi Wyspiańskiego jest jedyna „moc, która zdolna nas ocalić“ przed zatratą odwiecznych stygmatów rasowych, przed rozplynięciem pańskiej duszy polskiej w oceanie wspólnot psychicznych z calą Wszechslowiańszczyzną.

Wyspiańskiego: Królewski Piast, jego: jaśnie oświecony chlop, jego: Konrad, rzucający w naród hasla o „rwanych więzach“, o „mocy ocalającej“, jego przemożenie w sobie instyktów niewolnika a rozbudzenie pięknej i szczytnej żądzy rządzenia... wreszcie zaś jego sny genialne o czystej, jednolitej,

rasowej kulturze greckiej, oto są zawiązki, oto idee budujące dla jutrzejszego dnia.

Dlatego sądzę, że należy, aby ci wszyscy, którym odrębność i samoistność polskiej kultury leży na sercu, zdecydowali się na poznanie całego kształtu świata Wyspiańskiego i rozpoczęli przykładem swym oswajanie się z tem, co nazwano poprzód kulturą Wyspiańskiego, tak istotną i szeroką, jaką była kultura Szekspira, kultura Szillera.

To należy powiedzieć choćby na razie w mimochodzie dygresyi przy wątłym zarysie wrażeniowym z helleńskich marzeń Wyspiańskiego. Należy żywić nadzieję, że sternicy duchowego życia otrząsną się wreszcie ze słomianego tylko zapału, chocholowego żalu i relatywnej znajomości dzieł Wyspiańskiego, a poznawszy wszystkie orle loty tego Ptaka Ogromca, poczną z jego puścizny dobywać wartości nieprzemijające pozytywne i dzień jutrzejszy zwiastujące. Była w nim bowiem Jedynym pomazańczość natchnienia, eklezyastyczna linia życia czystego, i polskość tak nieskalana, tak nawet w Helladzie się odnajdująca, że przed nią ukorzyć się muszą także ci, dla których niema nic świętego, mało świątlego, a jeszcze mniej świetnego—

odkąd zmarl wielkiej poesis Pan, co Wawel połączył sobie w jedno z Iljonem, a Achillesowi dać raczył włos plowy rozwiany, zgrzebną parciankę i pas chlopski, skórzany, bronowicki...

HAIKAI.

Haikai znaczy dosłownie po japońsku — dowcip. Tysiąc lat temu nie znaczył więcej nic, dziś w wytwornem państwie wchodzącego słońca, w krainie wiśniowych sadów i zielonych złocieni jest szacownym terminem wielowiekowej formy literackiej, typem nienaruszalnym ze spiżowego odlewu siedmiozgłoskowego utworu poetycznego, świętą nietykalną formą prastarej mongolskiej gotyki. Wielkie przepstre wachlarze miast, porozrzucane u stóp lekko dymiących wulkanowych lejków łączą już relsy kolejowe, po których toczą się zielone jak jaszczurki lokomotywki amerykańskie, zen-bonzowie spacerują po asfaltach elektrycznie oświetlonej Osaki w gumowych waterproofach, w teatrach grają Dumasa i Sudermanna, koncertuje w Eddo tak japoński z nazwiska profesor Ysaye, milionowy naród „wysp świętych" asymiluje się w tempie europejczykom niedostępnem, a sta-

re Haikai jak istniało i obowiązywało pięćset lat temu, tak istnieje i normuje twórczą rozlewność nizkiego wzrostem narodu nadal. Również żyje i Tanka, krótki twór z 31 głosek, ulubiony w najniższym ludzie, rozbawionym najszlachetniej wieczornem rymowaniem przy gongu i wnętliwych fletniach. Nadal piszą się w cichości odosobnień nagauty, długie pieśni japońskie z mitologicznego tworzywa, pełne walk nadherosów z ohydnymi koszmarami. Kwitnie w dystyngowanych sferach konserwatywnej arystokracyi stara renka, łańcuchowy soliter, w którym każdy następny wiersz pisze inny poeta czy poetka, a piękne markizy spisują je tuszem na długich zwitkach papierowych, by dekorować tem chlubnie swoje buduary. Ale tylko jedna Haikai ma dawną moc wskrzeszającego i elekryzującego szerokie warstwy słowa, tylko jedna Haikai, wyszlachetniona w swej zwięzłości do ostatnich szczytów artystycznej finesy, przenika w najbiedniejszą ciżbę odległych dzielnic, wrzących pracą portów, przechodzi wszystkie szychty społeczne jak drgawka prądu elektrycznego i rozpłomienia buchający pożar, zarzewie godności plemiennej w sercach ludzi z Nipponu.

Było to jeszcze w XIV wieku. W Europie

szalalo krwi glodne barbarzyństwo, ciemno było i głucho, kiedy w jasnym kraju, pełnym rozśpiewanego ptactwa (którego nie wolno było zabijać pod ciężkimi karami) wydał namiestnik kraju jenerał Hojo-Soum manifest do narodu, jako wszyscy muszą się uczyć poezyi, od woziwodów do książąt, od tkaczy do filozofów. I odtąd lud się rozśpiewał jak ptactwo na morwowych drzewach, a akrobata-cudotwórca, siedząc na końcu bambusowej żerdzi sześć metrów długiej a balansującej na czole jego brata, improwizował w zapierającej oddech ciszy do mnogiego tłumu piękne naga-uty.

W XVI wieku, w epoce religijnego rozklócenia i dzikiej ciemnoty w Europie, wychodzi w Eddo piękna książka p. t.: Parasol dowcipów: Haikai - Mikasa pióra profesora Matsunagi-Teitoku, który w nagrodę zasługi wyszlachetnienia i wycyzelowania formy siedemnastozgloskowego dowcipu dostaje pozwolenie na otwarcie szkoły poezyi haikaistycznej. Z czasem do tej szkoły zalicza takie autorytety literackie jak filozofa Hayashi, badacza i monografa japońskiej powieści (monogatari), ascetę i apostoła czystości, samotności i zaparcia się siebie zen-bonza Fukakuse, Nishijama Soen, wysokiego w hierarhii dworskiej

dygnitarza a interesującego i dziwacznego humorystę, wreszcie Ibazę Saikwaku nowelistę i autora 25.000 Haikai..., no i boskiego Kigina Kotamurę, nauczyciela „Mickiewicza Japonii" Matsuo-Bashy.

Sam stary Matsunaga, autor Parasola dowcipów, był podobno nieco rufiańskim w swej manierze i nie wzdrygał się przed trywialnościami w swym krzepkim śmiechu. To też uczniowie jego aż po koniec wieku XVI tworzyli aforyzmy kostyczne, zbliżone duchem do dyapsalmatów greckich czy naszych skotopasek, tylko w koncepcyi zwięźlejsze, formalnie zamknięte i związane. Rzetelność prawd bezwzględnych, zamkniętych w tych czasem grzmiących indygnacyą, czasem miękko tkliwych i z liryzmem graniczących sarkazmach społecznych, był niespożyty i potężny czystem światłem. Moc Haikai wzrastała wraz z ich agresywnością i stawała się motorem politycznym w czasach opłakanych, kiedy plemię traciło godność osobistą i ambicyę słonecznego szczepu, w epokach chińszczyzny, za czasów panowania rozpustnych shogunów, w fazach mikadowych satrapii np. księcia Tanumy. Niezliczone, krótkie, wyostrzone w szpic, estetycznie nienaganne Hai-

kai, wystylizowane bajecznie na ściankach latarń, parawanikach, szyldach, na wachlarzach, drukowane w pięknych zbiorkach, ostrzegały naród przed zniewieściałością, wydrwiwały wszechwładztwo heter w milionowem mieście kupców i fabrykantów w Osace, hamowały butę żołnierskiego dygnitarstwa i swawolę żołdactwa w Eddo, brały żywy obustronny udział w wojnach shintoistów z Konfutseizmem, wyszydzały niedyś szał buddyzmu, który tutaj dostawał się w zdegenerowanej formie północnej (a był Japończykom tem, czem Europie niemiecka filozofia) budziły silne i dumne uświadomienie plemienne nawet w ekonomicznej wojnie zapałki japońskiej z zapałką szwedzką, podniecały w porę w ofiarność, poświęcenie i ukochanie floty i marynarki, normowały niczem niepohamowany pęd asymilacyjny rodaków a strzegły pilnie dawnych tak wyrafinowanie estetycznych trybów plemiennego bytu i ducha rasy. Twórcami Haikai byli wszyscy, którym oprócz koniecznej sprężystości talentu przypadł w dziale i zmysł troski o jutro wszystkich swoich. Więc i rycerze i wysoka szlachta, lekarze i malarze, rybacy i handlarze lałek, shyntoiści i zen-bonzy, dziewczęta z herbaciarń i ślepi nauczyciele przy-

godnie. Ale istotnie pomazany talent musiał się wyspecyalizować aż do przedziwnego wirtouzostwa i całe życie swoje, wszystkie soki żywotne, myśl każdą i sensacyę każdą kondensować w strzeliste Haikai, niezwyciężone Haikai, nieśmiertelne Haikai. Na najwyższy szczyt wwiódł jednakże tę przedziwnego aromatu liryczną satyrę największy poeta Japonii Matsuo-Basho, zwany także „bogiem haikai". Był bowiem i wiecznym wędrowcem, eremitą i nędzarzem, wielbił filozofię chińską Laotsego, propagował w wędrówkach swych kult i powrót do natury jak Rousseau i zbożną tęsknotę do wielkich i bohaterskich przodków. Otoczony czcią całego narodu uczył trzy pokolenia wyczuwać czar z uśmiechów żółtych róż, i pić słodycz melancholii wieczornego wietrzyka nad strugą, i upijać się tęsknotą szybujących nad polami prosa jaskółek, i egzaltować się tragedyą niewonnych przepysznych astrów. Ale liryk Matsuo-Bascho grzmiał czasem głośnym hukiem trombit strąconych aniołów. Kiedy wzgarda dla pełzającego nizko robactwa ludzkiego dusiła mu gardło, wydobywał z piersi chrypliwy jęk nienawiści i cierpkiej, negacyi, świstał szyderstwem jak harapem, którym biczują się bonzowie w klatkach drewnia-

nych, potępiał i protestował nieubłagalnie i do końca życia, świadom posłannictwa na swej nieprzekupnej kazalnicy nadspołecznej, dotrwał aż do siwych włosów, poddając się tylko jednemu, t. j. przekazanej formie literackiego wylewu Haikai. W kontury tego utworu obejmował Matsuo wszystkie dziedziny życia, zamykał klamrami swoje poglądy na wolność, idealizm, naturalizm, pesymizm, nurty polityczne, zagadki transcedentalne i tęsknoty pozaziemskie. W całej skali rozmaitego zabarwiania dochodził do mistycznych zagłębin od zgoła jasnych sentencyi urodzonego aforysty. A że z polotem japońskiej mowy łączył piękność tajemniczą chińskiego pisma i Whitmanowską czystość duszy poety natchnionego, nic więc dziwnego, że w tym wysoce arystokratycznym kraju, mającym swoją „Akademię literatur", liczył, umierając, do 5000 uczniów. Imię jego († 1694) jest i dzisiaj nieśmiertelną aktualnością, a tradycya przeszła w krew narodu „mongolskich greków".

Po roku 1800 popadają japończycy w degryngoladę społeczną na wielkie rozmiary. Shogunowie - książęta dają przykład, powierzając rządy swoim metresom. Moralnością ogólną kieruje materyalizm spekulantów ba-

welnianych. Bogactwo sfer górnych i przodujących wytwarza typową etykę merkantylną, z hasłem używania za wszelką cenę, luksusu i ostentacyjnej prostytucyi matek, żon i sióstr. Kultura chińska, będąca dla Japonii tem, czem dla europejczyków parysianizm, przenika i przetruwa wszystko, toczy Japan-Toe jak czerw, a co szlachetniejsze elementy ludzkie narkotyzują w senność apatyczną pesymistyczne spekulacye Buddyzmu. Czasy takie i atmosfera szału złota wywołują rezonansowo odpowiednią literaturę. Rej wodzą weseli pornografi i rozpustni farsiści. Mongolscy erotomani wydają niesłychane i niemożliwe w Europie wydawnictwo pornologiczne pod tytułem „Ninjo-Bon" (O Miłości), kokoty spisują rozchwytywane pamiętniki, poeci śpiewają romanse kurtyzan, a cała duchowa twórczość stoi pod wezwaniem Gejszy-Aphrodis białoramiennej lecz czarnozębnej, silnie nacierającej uda rycynusowym olejem a twarzyczkę wonią rezedy... Japonia obchodzi karnawał lekkomyślności i atrofii cerebralnej, króluje bezpodzielnie *carofoenum*, ideały narodu ustępują haniebnie interesom trustów przemysłowych z Osaki. Powtarza się cały wiek XII Japonii, to jest wiek Ludwików we Francyi. Nizki naród

tak skory do entuzyazmu otacza czcią boską wstrętnego O z a k ę, japońskiego Bourgeta, opisującego całe biblie analityczne z życia metres; omal nie budują mu świątyni, jak niegdyś boskiemu Hitamarze, lub nie wliczają go do bogów, jak niegdyś trzech poetów wliczyli. Ale po rozpustnym Shogunie przychodzi Shogun katońskich obyczajów. N i n j o-B o n zostają skonfiskowane i zakazane, autorzy ich idą w dyby i w łańcuchy, inni dostają niezliczone wiązki plag cielesnych, a rząd w Eddo rozpoczyna wojnę z heterohegemonią, luksusem od ogłoszenia trzyletniego okresu oszczędności i nagród cnoty. Równocześnie władze silnie popierają twórczość herosowo-mitologiczną, sięgającą korzeniami tradycyi aż po mikadów z X wieku, którzy w zmierzchłych czasach kazali spisywać historyę i biografię bogów i wojowników i t a ń c z y l i je przed narodem. Tańcząc bowiem wszedł ten naród w kulturę jak mówi W. G. Actor (History of Japanese Literature, 1899); filigranowe gejsze, żółte kotki, zwinne jak jaszczurki, były wajdelotami i druidami ludzi z Nipponu. Równocześnie z mitologiczno-epiczną reakcyą przeciw literaturze najniższej: farsie, ukochanej przez świat kupiecko-przemysłowy japońskich cen-

trów handlowych, podnosi znów głowę: Haikai brutalne śmiałe, pod formalnym względem elastyczne i skondensowane, popularne teraz w coraz szerszych kręgach żółtego ludu. Materyalizm milionerów yen zostaje ostrzeliwany ze wszystkich stron cierpkimi aforyzmami i arabeskami myśli krytycznej; senność, apatya, wyniszczanie wszelkiej energii w ramionach i splotach pięknych niewiast, społeczny cynizm i buddystyczny ascetyzm wyjątkowych ludzi, dostają cięgi, jak nigdy przedtem. W myśl przewodnich idei Matsua-Basho: „gdzie nasz duch, tam haikai", „myślą haikai jest litość" tworzą nowi poeci ze słynnym Shokusanem (pseudonim Ota-tana) na czele. On sam melancholijny ironista w nagłówku swych książek pisze stale: „dowcip jest iskrą bogów, która nigdy nie błyska nizko ale wiecznie mieszka w idei", lub „gdy wszyscy kłamią, tylko haikai nie kłamie". Wykształcony także jako krytyk i publicysta arystokratycznych tematów wydaje słynną: „Winszuję ci sto razy"—księgę złotego humoru satyrycznego. Wreszcie, związawszy się na stałe z panem Rokuju-En, równie subtelnym sarkastą, tworzą odtąd parę negujących Dioskurów, obdarzających pastelowy naród rokrocznie księgami wesołych

aforystycznych szyderstw, ubranych w strój wykwintny, ale nieznających ani pardonowania ani paragrafów. A angielscy i niemieccy znawcy-badacze japońskiej literatury, nie powodujący się jak przeciętni nipponofile egzotycznem umiłowaniem wszelkiej *curiosité*, nie mogą wyjść z podziwu nad estetyczną dystynkcyą i spokojem zgryźliwych i jadowitych haikaistów. Kraj pełen słońca, jaskółek, pól złocieniowych, nad któremi szybują miryady ważek-libelli, pełen tańca i śpiewów wieczornych nad rzekami, lud ten nerwowy, zdolny do niepojętych assymilacyi europejskości a zatwardziale konserwatywny w swych tradycyach, lud ten tradycyonalnie arystokratyczny i naiwnie rafinowany, ma też satyrę, na jaką zasłużył. Na Zachodzie i w najdelikatniejszych estetach przebija się często przez powłokę mozaikowej erudycyi dzikie barbarzyństwo aryjczyków. U nich, nawet paszkwilistyczny H a i k a i jest wzorem estetycznej tresury ogółu a silnej woli i górnej tendencyi jednostek twórczych, malkontentów. Dlatego też urzędowe zbiory Haikai przechowuje cesarska biblioteka Mikada, istnieją na uniwersytetach urzędowe katedry historyi i teoryi „paszkwilu", a ruchliwy mrówczo narodek otacza je pietyzmem, kultem i miłością.

Mody przechodzą i przemijają, przeszedł kult Dumasa i Walter-Scotta, przechodzi shyntoizm i buddyzm, szał floty i dział Maksima, ale trwa nadal i jaśnieje majestat prastarej ludowej, narodowej ale 'już feudalnej formy satyrycznej Haikai...

Odrodzenie Erynu.

Że się i w dzisiejszych czasach dzieją cudowne zjawiska, o których się ni filozofom, ni teoretykom państwowości lat temu dwadzieścia chyba nie śniło, tego dowodem niech będzie wyłanianie się z popiołów wynarodowienia szmaragdowego Fenixa celtyckiej Irlandyi.

Jest to jedno z tych nielicznych widowisk na wielką skalę, którem można się, ba, nawet którem t r z e b a się egzaltować i cieszyć, i cytować je, i badać, i opowiadać o niem najgłośniej i czerpać z niego optymizm, śmiałość, wiarę w ingerencyę Jutra, a w pozytywnych danych nikłość i rzekomość.

Wyobraźmyż sobie naród, liczebnie trzy razy przeszlo mniejszy od naszego, a naszych wad, śmieszności, grzechów, i brzydactw spotęgowanie,—przypomnijmy sobie, że

Irlandowie od siedmiu wieków cierpią prześladowania i tortury, wobec których nasz wiek XIX blednie i zmniejsza się do rozmiarów obłoku, który szybko horyzont przemierzy i zniknie; dodajmy jeszcze, że po kilku wiekach brutalnej a perfidnej tyranii udało się wreszcie wszechmożnemu Albionowi zatruć samą duszę eryńską, zanglizować całą obyczajowość celtycką a wreszcie w ostatnich piędziesięciu latach odebrać język prawie pięciu milionom — a będziemy mieli nic jeno „popioły i zgliszcza“, śmierć wynarodowienia, upadek. Nieprawdaż? I oto z tych zgliszczy rozbłyska iskierka, na tych ruinach wstaje światło, z tych rzekomych „popiołów“ wyłania się Fenix, świeży, mocny, czysty organizm nowej celtyckiej Irlandyi, a niepyszny Albion zaciska żylaste pięście i klnie goddamując i spluwając przez zęby z utkwioną krótką fajeczką. Stało się bowiem coś, czego ani unioniści, ani imperyaliści, ani kupcy, ani parlamentarzyści, ani dziennikarze, ani politycy, ani nawet sam biedny „Paddy“, zgłodniały cień wieśniaka z Hebrydów przewidzieć nie mógł: z martwych powstał język eirzyjski t. j. jedyna ostoja serc, palladium, święte świętych każdego choć

i najmniejszego narodu. A jak się stało, opowiem.

Co jakiś czas oto czytamy w pismach, że w obrady angielskiej Izby gmin wchodzi odnowa wieczna „kwestya irlandzka“; wygloszą kilka mów leaderzy „brygady irlandzkiej“, i odpowiedzą brutalnie unioniści, a sprawy „wolnego domu“, o ile nie pogrzebie Izba gmin, to odrzuci Izba lordów. W Irlandyi wywolują to tu i owdzie burzliwe niepokoje, które się kończą tradycyonalnie zawieszeniami konstytucyi, stanami wojennymi w kilku hrabstwach, egzekucyami, rozstrzelaniami i t. p. Konstelacya polityczna i obecnie dla Irlandyi nie jest wcale dobrowróżbną, a zresztą jeszcze wogóle coś wcale nie zanosi się w Europie na „wiosnę narodów“. Już bo nad tem czuwać będzie po kasarniach aż siedmiu pryncöw z sympatycznej rodziny Hohenzollernów... Ale też nie od politycznych konfiguracyi zawislo duchowe odrodzenie zielonego Erynu. Raczej będzie ono ich przepowiednią, przeslanką i antycypacyą, zdzialaną mozolem i geniuszem ludzi, którzy z polityką nie mieli nic wspólnego, a raczej do polityki mieli wrodzoną niechęć i wstręt. I na ten wstręt do polityki istotnych odrodzicieli narodowości

irlandzkiej chcę puścić właśnie najsilniejsze światło. Od czasów O'Connela, t. j. od początków XIX wieku mania politykowania irlandczyków zaczęła zmieniać się w stan wprost chorobliwy, w ogólne narodowe kalectwo psychiczne. Ostry alkoholizm szedł ręka w rękę z rozbiciem się na liczne partye wzajem się szkalujące i zwalczające; wrzaskliwość rozgadania wiecowego popierała wrodzone, często pełne rozmarzań próżniactwo. Zdesperowany naród pięciomilionowy kilka razy porywał się do konwulsywnych odruchów pomsty, by zgnieciony artyleryą z blockhauzów jeszcze Elżbietańskich, znów zapadać w depresyę paniczną, w namiętność tłumnego emigrowania, w ulubione demonstrowanie, protestowanie, manifestowanie i t. p. znane, dobrze znane niewolnicze akcye. Tomyby o tem opowiadać, do jakich groteskowych objawów dochodziło politykomaniactwo analfabetów, sterowane przez czasem praktycznych, czasem fanatycznych wodzirejów klechów. Kazano im przeklinać Cavoura i Mazziniego, a Paddy przeklinał; kazano nazywać Mac-Mahona „naszym niekoronowanym królem“, a Paddy nazywał i słał herosowi z pod Metzu „szabelkę honorową“. Bardzo cierpliwym bowiem, karmionym kiep-

skimi ziemniakami i rdzennie londyńską *whisky* był chłop-pan „szmaragdowej wyspy". I robił wszystko, co mu kazali tonsurowani spadkobiercy idei św. Kolumbana, św. Patryka, a z ludzi świeckich wielcy i mali Connele i Parnelle. I stało się, że w tych latach, w których „P a d d y" najżarliwiej i najnarodowiej politykował, stracił w gorączce antilondyńskiej ni mniej ni więcej tylko... swój własny język, stary, d w u t y s i ą c o l ę t n i język celtycki. Jeszcze przed rokiem 1848, strasznym rokiem głodu i rewolucyi, wszystko mówiło po irlandzku, z wyjątkiem miast, aczkolwiek już od r. 1831 zapanował w nauczaniu początkowem patentowany system lorda Derby, prototypu *of right honourable m. Apuchtin*. Od r. 1848, dzięki głównie angielskiemu nauczaniu początkowemu i dzięki „lekceważeniu" kwestyi językowej przez polityków „praktycznych", zaabsorwanych agrarną tragedyą ludu — zaczął język prastary i przez siedem wieków niewoli ocalony wychodzić z użycia, niknąć, zamierać (jak w Cornwalii), aż wreszcie doszło do r. 1900, w którym statystycznie pokazało się, że na 4.700.000 t. zw. irlandczyków ostało się 60.000 irlandzkich irlandczyków, mówiących językiem swych ojców, matek i pradziadów,

700.000 dwujęzycznych a omal 4 mil. angielskich irlandczyków, nie rozumiejących ni słowa „gaedhulge“, rzetelnie wynarodowionych kalek, fanatycznych w jakimś partykularyzmie pseudo irlandzkim, wybierających sobie swoich 103 krzykaczów i adwokatów do londyńskiej „Izby gmin“, a dumnie nazywających się „West-Britons“... w typie i w obyczajowości, w zwyczajach, w manierach, w kulturze, w lekturze, zgoła angielskich, ba, nawet więcej angielskich od samych londyńczyków. Jeszcze jedno trzydziestolecie a cała Irlandya, wynarodowiona, bez duszy, leżałaby u stóp parlamentu londyńskiego, podczas kiedy realnie — szowinistyczni oratorzy irlandzcy właśnie może w on czas zyskaliby od rządu upragniony i wymarzony „dom własny“ w Dublinie, drugą, t. j. partykularną angielską arenę głupstwa i próżności ludzkiej. Tymczasem jednak uratowało Irlandyę nagle obrzydzenie do wszechogarniającej polityki parlamenckiej, spowodowane głównie dwoma ciosami w samo serce pan-maniactwa politycznego, t. j. upadkiem Parnella w 1891 i odrzuceniem *home rulu* w r. 1893. Ster narodowej nawy przeszedł z rąk arrivistów, adwokatów i polityków w ręce ludzi apelujących nie do

interesu wyborców a do moralnej godności obywateli, w ręce ludzi, niefachowych w kwestyach ekonomicznych, gospodarczych, agrarnych i t. p., ale wielbiących tradycye stare, czujących indywidualny całokształt życia ludowego, opiekujących się językiem wzgardzonym i zagrzebanym, skarbami swoistej kultury, muzealnemi pamiątkami i „marnymi wynalazkami“ folkloru. I zobaczyła Irlandya, myśląca patryotycznie Irlandya, do jakiego stopnia upadku plemiennej samowiedzy doszła w ostatnich pięćdziesięciu latach, w jarzmie angielskim już nie ino politycznem a moralnem, psychicznem szukająca dla siebie ratunku tylko w poselskich harcach, w wyborczych komedyach kołtuństwa i w sprawności angielskiej elokwencyi u swoich umiłowanych wysłańców do „Izby Gmin“. Przeszło półtora miliona emigrantów z kraju, otumanienie chłopstwa przez alkohol i katolicki ultramontanizm, przyjęcie ordynarnych elementów pirackich i pijackich z całokształtu kultury anglosaskiej na miejsce dawnej arystokratycznej, głębokiej kultury celtyckiej, no, i wreszcie absolutny zanik poczucia narodowej godności — oto były rezultaty kolosalnych sukcesów parlamenckich, matactwa politycznego „druzgocących“ mówców-paradye-

rów i „owocnej poważnej opozycyi“ „naszej brygady z Erynu“, imponującej niesłychanie filistrowi irlandzkiemu.

Panowie leaderzy irlandcy od smutnej pamięci Parnella do dzisiejszego Redmounda, znaczącego się pompatycznie C. O. I. R. B. *Chief Organiser of Irish Republican Brotherhood* zaabsorbowani byli tak wyłącznie (zresztą poważnymi) kwestyami rolnemi i autonomicznymi, alias domaganiem się „ziemli i woli“, że na abstrakcyjne i platoniczne postulaty nie mogli mieć formalnie czasu. Za nimi stał cały pięciomilionowy naród, samogwalcący się szopkami wyborczymi, agitacyą polityczną, warcholstwem menerów i clubspeakerów, a lekceważący kwestye tak „idealne“ jak język, kultura, literatura, tradycya, sztuka. I w ten sposób doszło do zewnętrznego zangielszczenia, a do wewnętrznego zdeprawowania się politykomanią w całych 5 milionach, do przetrucia się właśnie tymi owocami konstytucyjnego ustroju, które powinny były dawać niby zdrowie i siły. Biedny lub bezziemny, cały w pachcie prawdziwych pająków middle-manów, wysługujący się po murzyńsku landlordom, używającym pełnego życia w bezpiecznym Londynie, biedny lud o poetyckiej, bujnej wyobraźni, sub-

telnym nerwostanie, delikatnych uczuciach i żywym, rozpalnym temperamencie, wszystkie swe nadzieje pokładał niebacznie w doktrynerskiem marzeniu o wywłaszczeniu złych, wysysających szpik Erynu landlordów i wszystkie troski powierzał swoim homerulistom, t. j. poprostu utalentowanym karyerowiczom, przesianym przez sito łaskawego a z satrapia po dyktatorsku dusz rząd sprawującego kleru. I lud przeliczył się i zawiódł. Autonomii Irlandya nie dostała, kwestyę agrarną zreparowano i załatano z inicyatywy jeszcze samego Gladstona bez wielkich wysiłków „brygady“, a tymczasem właśnie w okresie najgorętszego roznamiętnienia pseudonacyonalistycznego i febry politycznej, grasującej nagminnie zatruto zgaszony znicz święty druidów: duszę plemienną, mistyczny, wspólny ton psychiczny starej królewskiej celtyckiej rasy. A dokonali tego nietyle angielscy unioniści, ani stary Salisbury, ani torysi, ani irlandcy oranżyści, ani piechota szkocka, ani bakałarz angielski, ani wicekról, ani sekretarze stanu, ale dokonała brygada z Erynu, t. j. 103 ambitnych tylko—materyalistów, lekceważących sobie skarby ducha i odrębnie psychiczne wartości swego ludu; dokonał filister irlandzki, tak bezmyśl-

ny jak każdy inny, ino ubierający się w angielską kulturę klubową, czytujący kolportowane z Londynu okropności za pensa (penny dreadfuls), zjadający sandwiche, durhamskie filety, yorską szynkę... ten glupi zwierz filister pozujący tu na West-britons, gardzący swym językiem, jego skarbami, tradycyami jako... abstrakcyami, które się nie dadzą ani zjeść, jak yorska szynka, ani wypić, jak portwein.

Odrodziciele Erynu, t. j. grupa intellektualistów zakochanych rzetelnie w celtyckich prapoczątkach Irlandyi, rozpoczęla dzielo swe pod haslem absolutnego odseparowania idei narodowości od polityki narodowej i od kwestyi wyznaniowej. Widzieli oni bowiem, że polityka jest to wogóle praktyczne zastowanie umiejętności przystosowywania się do interesu halastry, a że kwestya wyznaniowa to balast, wieszający się u spraw wszelkich kultur. Im zaś przedewszystkiem chodzilo o otworzenie zagubionej indywidualności plemiennej i o emancypacyę narodu zbalamuconego pochlaniającą caly jego intellekt agitacyą polityczną z pod obyczajowej i moralnej przewagi wszechwladnej burżuazyi londyńskiej. A do tych celów dalekich prosta droga prowadzila tylko przez odrodzenie ję-

zyka, tej miękkiej, rytmicznej, muzykalnej, dostojnej mowy eiryjskiej, jednej z trzech siostrzyc praszczurej mowy „pierwszych z Aryow“. Mieli założyciele: „Ligi gaelickiej“ przykłady w siostrzanej Walii, gdzie mimo anglizatorskie zakusy 1.500.000 celtów mówi po walijsku, wydaje 28 miesięczników, 25 tygodników w swem kymeryjskiem narzeczu, zbiera się na turnieje poetyckie i muzykalne: eisteddfoodany z pomiędzy koliska bardów obiera „barda tronu“, *Hurfamona*. Mieli przykłady w Bretanii, gdzie mimo zapędów gallizowania na 1.300.000 celtów przeszło 700.000 mówi wyłącznie po bretońsku. Zaczem pierwsi założyciele „gaelickiej ligi“, korzystając z rozbudzenia się ogólnorasowego ruchu panceltyckiego (dziś jeszcze raczej platonicznego, gdyż krępowanego rozdzieleniami państwowymi i kościelnymi) sprzymierzyli niejako swoje idee przewodnie z kolosalnymi ideami rasowej unii Celtów z Bretanii, Walii, Szkocyi, Biskaji hiszpańskiej i wyspy Man, — nie wlączając ani cienia jakiejś akcyi politycznej w program swego r o z b u d z e n i a d u s z y c e l t y c k i e j. W każdym razie jednak „Liga gaelicka“ bardzo sympatyzuje z panceltyzmem, reprezentującym duchowo piętnastomilionowe plemie.

Wierzy bowiem w misyę światową zjednoczenia tej rasy, która najwięcej w Europie przechowała zmysłu sprawiedliwości, dzięki glównie wiekowej martyrologii. Jak zwykle w tych przesileniach narodowych, gdy chodzi o nadanie życiu nowych rasowych impulsów, tak i w tym wypadku oparło się Gaelickie Odrodzenie na ruchu ludowym, w nim czerpiąc żywotne swe soki. Że zaś język eiryjski zachowali w czystości tylko chlopi na Hebrydach i w zachodnio-poludniowej Irlandyi, tedy ich fermy, a raczej lepianki, torfowiska i leśne zagrody staly się celem pielgrzymek pierwszych wskrzesicieli odrodzenia. Tu spisywano skrzętnie deklamowane i śpiewane przez starców dlugie poematy, ballady, legendy i łącznie z pracami uczonych, z publikacyami manuskryptów z bibliotek: Franciszkanów w Dublinie, w St. Gallen w Szwajcaryi, dublińskiego Trinity-College odtworzono fundamentalny żelazny kapital językowy, z którego czerpać już będą mogly pokolenia. Walną pomoc oddały Lidze prace historyczne francuskich celtologów jak i niemieckich profesorów: Zimmera i Kuno Meyera. Z irlandzkich znawców celtyzmu na czele ruchu gaelickiego staneli: znakomity filolog z Trinity-College Whitley

Stokes, prof. Alfred Nutt i wreszcie entuzyastyczny apostoł dr. Douglas Hyde, gente Britannicus, natione Hibernus, z wyznania... protestant. Liga zaczęła od odczytów, manifestów, konkursów na utwory poetyckie, od propagowania artystycznego epicznych cyklów z bohaterskich czasów „Fianna", od recytacyi publicznych prastarych legend królewskich. Rozbudzając z początków entuzyazmy czysto artystyczne, powoli zaczynała pracę na coraz szerszą, ogólniejszą skalę. Już i jej wolontaryusze zaczynali dawać prywatne a z czasem publiczne lekcye eirzyjskiego języka, już zaczęto jeździć od miast do miast z cyklami wykładów i otwierać kursa nauki literatury i sztuki celtyckiej. W r. 1893 założono Ligę z najskromniejszymi fundamentami, w r. 1896 sprzedano ćwiczeń języka eirzyjskiego Growney'a 80.000 egzemplarzy, w 1897 już 240 tysięcy egzemplarzy, by wreszcie w r. 1905 dojść do imponującego pół miliona egzemplarzy. Już Liga gaelicka wydaje dwa dzienniki, a trzy miesięczniki, wszędzie pojawiają się szyldy, ogłoszenia i reklamy w starej mowie, już departament rolnictwa w dwóch językach ogłasza swoje rozporządzenia. Nawet listy pasterskie ogłaszane są w dwóch językach. Ten szcze-

gól ostatni wykazuje chyba dobitnie potęgę odrodzenia języka, kiedy nawet kościól święty już uważał za wskazane iść za prądem unaradawiającym i tak wyłącznie idealnym. I w rzeczy istej, przez lat trzynaście zdolala Liga i ruch od niej wychodzący oddać prastary język prawie milionowi swych ziomków. Z językiem zaś, z tem drugiem „*second self*“ jak sami anglicy mówią, także i tradycye językowe, umilowanie starej kultury i dawnych zapomnianych obyczajów, poczucie spólnoty zwyczajowej, korporatywną plemienną moralność, zaczem, co najważniejsze, wiarę w Erin, wiarę w odradzające się ojczyste sily. Nie tylko jednak na propagandzie wzgardzonej mowy celtyckiej ograniczyli się kierownicy „Ligi gaelickiej“, ale zwolna jęli się unarodowienia i przepajania pierwiastkami celtyzmu wszystkich naokól dziedzin życia. Tak tedy rozpoczęli wojnę bojkotową z wyrobami manchesterskiego przemyslu, zaagitowali wlasny przemysl... artystyczny, sięgający tradycyami bądźcobądź już i VII wieku. Poczem przyszla kolej na przywracanie strojów celtyckich t. j. dodanie do zwykłych ubrań tuniczki na skórzanym pasku i pledu kolorystycznego na ramiona. Wreszcie przypomniano dawne tańce narodowe na zielonej

trawce, koncerty z pieśni ossyanicznych prastarych, zabawy ludowe: *seilges*, sporty, zainicyowano tłumne wycieczki - pielgrzymki do miejsc historycznych i *eisteddfoodany* z konkursami poetyckimi i muzykalnymi bardów. Wreszcie ufundowano w Dublinie narodowy teatr gaelicki. Przekpiwana i wyszydzana idealna akcya „intellektuelów" po trzynastu latach skupiania sił wyłącznie duchowych, idealnych, zwyciężyła i dziś z pomocą czterystu komitetów lokalnych „Ligi gaelickiej" jeden tylko okrzyk rozbrzmiewa po szmaragdowej wyspie: Erin go bragh! Erin go bragh! Irlandya przebojem!

William Butler Yeats — naszego Wyspiańskiego rówieśnik i omal sobowtórny analogon—jest jednym z pierwszych reprezentantów „odrodzenia gaelickiego", jednym z głównych ogniw „Ligi gaelickiej" — zangliczonemu narodowi jego ukradziony symfoniczny język—i ducha prastarej, dwutysiącoletniej kultury celtyckiej wskrzeszającej.

Sternicy i wodzireje tego ruchu używają dotychczas jeszcze języka macoszego angielskiego i prawdopodobnie dopiero następne pokolenie twórców będzie składało swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty w potwornie trudnem narzeczu erzyjskiem

lub kymeryjskiem, w mowie św. Patryka i św. Brygitty... Spółcześni zaś *„fili"* t. j. bardowie ogniści, wskrzesiciele zagrzebanej mowy jak George Moore, Fiona Macleod, Tynan Hinckson, Martyn, Lionel Johnson, Synge, pani Ethma Cabery, prof. Ernest Rhys piszą po angielsku, czyli—jak oni nazywają, po „brytańsku", t. j. językiem „krwawego Sassenachu". Z nich wszystkich zaś tylko Byam Skaw jest w całem tego słowa znaczeniu i w Anglii obrzydliwie popularnym; snobizm zaś europejski doczepił się go tak kurczowo i hałaśliwie, że omał obrzydził autora „Cezara i Kleopatry" wszystkim jego dawnym przyjaciołom.

William Buttler Yeats nie potrzebuje się bać wielbicielęctwa szerokich mas gawiedzi. Chociaż mieszka w Londynie, mało się nim troszczą *magaziny i reviewy, pressy i chronicles*. Żyje sobie na uboczu ten wysoki, smukły, rudowłosy poeta o mocnych ciemnych okularach na oczach, maluje bardzo prowokująco i od czasu do czasu wydaje u Fishera Umwina albo u Walter Scotta tomiki, które następnie stają się skarbem maluczkich, ukochaniem czystych i dumą, chwałą odradzających się duchowo Celtów w Erynie. U nas zna go i ukochał Jan Kas-

prowicz, który mu najpiękniejszy też hołd złożył przetłómaczeniem uroczego snu dramatycznego „Grefini Kasi" i kilku charakterystycznych wierszy z tomu *Poems* 1901 (Fisher Umwin), z tomu „*The wind among the Reeds*" (tamże 1900) i z tomu: „*Irish fairy and Folk Tales*" (Walter Scott).

Nacyonalny ruch irlandzki jest w tem arcyszczęśliwem i godnem zazdrości położeniu, że nietylko nie kolliduje z ruchem socyalnym, ale jest jego bratnim druhem i konsekwencyą, jego uszlachetnieniem i wyidealnieniem. Wspólny ich wróg to materyalistyczne imperyum Wszech-Brytanii, wzięte w pacht przez landlordów, oranżystów i pachciarzy lordoskich, wysysających jak pijawki bierny a arystokratyczny wieśniaczy naród „zielonej wyspy".

Emancypacya ludu irlandzkiego z pod angielskiej tyranii politycznej moralnej, intellektualnej i obyczajowej jest zarazem emancypacyą klasową z pod ucisku kapitału telefonującego z Londynu najsroższe i najbrutalniejsze ukazy w imię państwowości angielskiej „krwawych Sassenach". I dlatego w irlandzkich autorach skroś patryotycznych i patryotycznie, czujnie aktywnych,

w tych duchowych „chorążych ludu“ jest to przemiłe skojarzenie socyalnej często rewolucyjności z najdelikatniejszą wytwornością ideową, z rzetelnem ukochaniem przeszłości, starej zielonawej patyny feudalnej i królewskiego, poszarpanego, gronostajowego płaszcza z Armagh czy Connaught. Symbolem tego skojarzenia dwóch istotnie twórczych i niosących zarodki i ziarna przyszłości prądów jest też i irlandzki Wyspiański—William Butler Yeats, socyalny patryota i arystokratyczny obrońca uciśnionego ludu „panów i poetów“. Że zaś nacyonalizm irlandzki jest indywidualizmem szlachetniejszej mniejszości wobec pięści „państwowej idei“ piratów, przeto i irlandzcy reprezentatywi są przedewszystkiem bojownikami indywidualizmu, przeciwstawiającymi światopoglądowi cyfr, rachunków, statystyki—potęgę duszy, wiarę panteistyczną, nicość gburowatej cyfry a dostojność mistycznego tchnienia, ożywiającego tak genialne dzieła wybranych jak i instynkta bardziej z przyrodą w symbiozie żyjących ludów. W zestawieniu z jobberem „*uncle Samem*“ jest wieśniak irlandzki mimo swoje powierzchowne pozory etycznego upadku i społeczniaczenia—narodem głębszym ciekawszym, i metafizyczniejszym.

Autor „*Countess Cathleen*“ żyje duszą swą w epoce bardzo, bardzo zamierzchłej, w bohaterskich czasach pasternej naiwności i czystości królów -- witeziów, patryarchalnego żywota rybaków i chłopów, kiedy to dziarscy koniądze „najstarszych Aryów“ wracali z krwawych bojów i drak między sobą, odpasywali miecze (dziś rdzawe w British Muzeum), brali w dłonie olchowe gałęzie i w druidzich płaszczach śpiewali tłumom swych poddanych długie epopeje o owem bezpohybnem męstwie i zawsze nieustraszonej odwadze. Yeats nawraca dusze spółczesnych do tych czasów Meerddiina (Merlina) i Artusa, Kuhulina i Goolana, kiedy to w przedświcie i zaraniu średnich wieków powstawały olbrzymie, długie, monotonnie nucone obręby, ringi, cykle epicznych sag i klechd, gocko-skandynawskie Odysseje, celtyckie Szachnamy, aryjskiej kultury węgielne, tynowe fundamenty. W tych pieleszach i kolebce celtyckiej szuka Yeats duchowych ekstraktów i essencyi dla podtrzymania sił żywotnych i wzbudzenia reakcyi zdrowia u swego nieszczęsnego, depatryzującego się narodu.

I Yeats sięga ręką w te skarby, które

uczeni odkryli w zmurszałych, żółtych, stoczonych na pół robactwem kartach ksiąg dublińskiego kollegium Trójcy, księgozbioru Franciszkanów, manuskryptów w St. Gallen, w Würzburgu, w Karlsruhe, a przedewszystkiem w „brylantowym kruku“: „księdze z Kells“ z... VIII wieku. Epokowe odkrycia prof. Kuno Meyera, prof. Zimmera i celtologów angielskich są dla niego żywem źródłem czystej krynicznej uzdrawiającej poezyi. Herb Erynu jest godłem jego produkcyi natchnionej: harfowe dźwięki mają jego wskrzeszone klechdy a koniczynnego listka świeżą intensywną zieleń—jego, ukochanie przyrody i spływanie się z nią w jedność, w całość. Dzisiejsze konkretne życie Irlandów jest mu tylko przykrą ale zgoła bezistotną i nieważką fazą przejściową; nie obchodzi ga nawet roczne emigrowanie w świat do 40,000 chłopów, ani go nie smuci przydługa walka Irlandów o „dom własny“ i z tym związane orgie matactw politycznych. Nie oburzają go intrygi kleru katolickiego, patronującego ludowemu życiu politycznemu, ani potępieńcze swary, intrygi, oskarżania się i szkalowania partyi, skandale menerów narodowych, renegacya irlandz-

kiej noblessy, ni pijaństwo, ni wsie pełne matołów, ni z najbiedniejszego proletaryatu wyciskane świętopietrze, i nędza agrarnego kraju, i gadatliwość narodu, i mania konspiracyjna, i blaga i podejrzliwość wszystkich względem wszystkich, i te „wróbli po rynnach kłótnie i zawiści“, i to piekło niewoli. Tyle w nim przeświadczenia o tem, że mu tylko twarz zastygła w gorzkim grymasie poważnej maski, i że ni z wierszy, ni z pomiędzy wierszy ani razu nie uśmiechnie się w świat pusta wesołość. Ale doczesny i materyalny brud życia ani się go nie imie. On stróżuje, by duch narodu zatruty ozdrowiał, on nawołuje do przywrotu języka, od lat 50 wytrzebionego, on czarodziejsko pięknym dzwoniącym rytmem budzi uśpioną tęsknotę do narodowego piękna, on strofami archaicznie konstruowanymi zaklina stare bogi, dobre demony, leśne, polne, powietrzne, wietrzne, rzeczne, łąkowe, burzowe, ognia i mgły zaśnięte bożyce pogańskie ze snu do powstania i zaopiekowania się tym wynędzniałym, wygłodzonym, z kartofli opuchłym i od whisky ogłupiałym ale szlachetnym jego ludem; Chrystus i Najświętsza Panienka zawiedli bardzo wszystkie

„mniejszości“ narodowe, opiekując się za to serdeczniej mocarstwami militarnemi, rozszerzającemi chrystyanizm armatami Armstronga i karabinami mr. Maxima. Dla Yeatsa szpikiem pacierzowym narodu jest te sześćdziesiąt tysięcy chłopów na najskrajniejszym zachodnim brzegu Hebrydów, pasterzy i rybaków z torfowisk i lasów, którzy w czasach niebywałej wścieklizny oranżyzmu angielskiego, w czasach ślepego rozbestwienia zaborczości Londyńczyków zachowali w nieskalanej czystości dwutysiącoletni język „*gaedhulge*“ i śpiewając na pamięć stare praszczurów legendy i epopeje przechowali w czystości istny święty znicz, prawdziwą „kružę Graalową“ obok niczem niewstrząśniętej, niezmąconej, żadnym ultramontanizmem nie zbrudzonej wiary w „*the others*“ „w nich“ „w tych innych“ w bożyców takich, jak Angus, Aedh, Ferhus... t. j. w muzykalne termina abstrakcyjnych pojęć o elementach przyrody.

I oto widzimy, że gardzący konkretną realną rzeczywistością poeta-fantasta miał swoją pozytywną racyę polityczną. Dziś do tych chłopów z Hebrydów pielgrzymuje cała myśląca i czująca Irlandya i uczy się od nich zatraconego języka swojego i starych wie-

rzeń, podań i klechd; z chłopskich pasterskich i rybackich rąk bierze pierwsze bierzmowanie odrodzenia narodowego; dochodzi już i do tego, że polityczni arywiści i karyerowicze „home-rulizmu", jak niepyszni, jadą na zachodnie pobrzeże świętej wyspy, by tam czerpać z czystych studzien i zródeł miłość ojczyzny, uczucie tak bezinteresowne i nieprocentujące nigdy, jak interesownym i procentującym jest wszelki parlamencki, gazeciarski, bankietniczy jubileuszowy, stadom łakomym schlebiający „patryotyzm adwokatów i dentystów"... Tak więc chłopi i poeci ratują samowiedzę i samobytność narodową irlandzą, wtedy kiedy jej już nic pomódz nie byli w stanie praktyczni ekonomiści, druzgocący argumentami juryści i genialni pyskacze.

Orficzny poeta Yeats, jako rzetelny irlandzki „fili" druid, wierzy z omal dziecięcym uporem w istność „the others"; jemu po swedenbergiańskiu duchy i duszyce, anielice i rusalice, zjawy i strzygi, elfy i krasoludki nie są metaforami tajemnych a potężnych sił przyrody, ale substancyami istotnymi, plastycznemi, interweniującymi w życie śmiertelników osobiście, czasem dobroczynnie, a czasem złowrogo i złośliwie.

I z tą nieco determinacyjną wiarą w leśny i komyszny Olimp poważnie-smutnego pejzażu irlandzkiego łączy się organicznie jego pogląd artystyczny na istotę, cel i środki dramatu. Odrzucając wszelki dramat dynamiczny, dramat akcyi, muskułów, czynów, osobniczych charakterów—Yeats uznaje jeno dramat ludzkiej woli, dramat statyczny, w którym ludzie zgoła pasywni nic nie działają impulsywnie a jeno, „są działani", są poruszani sznureczkami fatalizmu, ręką Niewidzialnego. Ten karmatyczny, buddyjski pogląd na dzieło swego kunsztu dramaturgicznego czyni go blizkim krewnym maryonetkowych idei Maeterlincka i Wyspiańskiemu (z jego pierwszych dziel) i nadaje grecki ton jego snom seledynowym, jego przedziwnie miękkim w barwach ewokacyom szmaragdowego świata, jego alegoryom legendowym, malowanym akwarelowymi barwikami. Wychodząc z racyi, że symbolizm jest *jedyną formą metafizyki* mającą pewne szanse powodzenia w dramacie, decyduje się Yeats na Szekspirowską prostotę kunsztu dramatopisarskiego i w czysto dusznych swych *allegoryach* przeprowadza *symbole* trwałych, nieprzemijających, odwiecznych wartości życiowych. I w tym programie, w tym duchu za-

sadnym, prozą prostą a pełną niedomówionych tajemnic i niewysłowionych uroków daje swe „drame intime“ i panteistyczne pieśni górnie nastrojone a ogromne ludzkie, proste i przystępne, heroiczne bezwiednie a hieratyczne w swym spokoju, spokoju ukojenia, ciszy i dyskrecyi.

Czytajmy symfonię o „świętej z oczyma szafiru“, o „Kontessie Katlinie“, co z miłości do uciśnionych kmiotków w czas głodowej zarazy własną swą duszę białą sprzedała kupcom. Czytajmy wielkie dzieło „opus paramirum“ nowej sztuki symbolicznej Yeatsa: „The Land of the Hearts Desire“ „Kraj tęsknot serdecznych“! Oto jesteśmy w nim na Hebrydach, tam gdzie ocean Atlantycki bije potwornymi płetwami o dzikie pobrzeże zachodniego krańca Europy. Pełna tajemniczych misteryi noc majowa, ciepło i księżycowo. — Wnętrze chłopskiej chałupy. Starzy siedli u stołu i raczą patra katolickiego. Syn im usługuje. A w kącie siedzi Marya jego żona, jakaś dziwo-żona, ciągle w jednej, przestarej księdze pogrążona, milcząca, obojętna, poganka. Na oknie pełno dzwonków modrych a tem ciekawych, że „ich“, „tych“, „the others“ przyciągających. Stara chłopka Brigida ośmiewa przed patrem i u-

rąga z Maryi, że ta ciągle czyta w księdze, którą ich stary dziadek, bajczarz-poeta „fili“ gdzieś kiedyś napisał. Ksiądz pater bada Maryę, co to za książka, i radzi nie poddawać się rozmarzeniom melancholijnym a cieszyć się codziennością. Lecz Marya według rad książki idzie rozrzucać dzwonki przed próg chaty, by duchy majowe przyszły. Ksiądz ją gromi, matka męża wyklina, tylko mąż broni jej marzeń o jakimś bajecznym kraju upragnionym. Wiatr roznosi dzwonki po polu, po błoniu, a wnet zjawia się pierwsza tajemna krasawica w zielonej szacie, dostaje jałmużnę, odchodzi. Po niej małe dziecię prześliczne ale dziwnie nie samowite, przychodzi prosić o nakarmienie, ogrzanie i napojenie. Wszyscy pod urokiem bosego, biednego dziecięcia. Nawet pater na dziecka prośbę wynosi krucifiks do drugiej izby. Wówczas dziecina wokół Maryi rozsypuje dzwonkowe kwiecie i obejmuje ją rączką. Z za chałupy słychać śpiew monotonny, dziwny, jakby samych fal powietrznych, a Marya dotknięta ramieniem dziwnego dziecka w tęsknocie upragnionego kraju, zamiera. Dziecię znika. Oto jest szara kanwa błahej treści, na której dopiero geniusz celtycki emanujący się w malarzu W. Butlerze Yeatsie

dzierga wzorzyste barwy słowne i delikatne nastroje komunikacyi panteistycznych z matką-przyrodą starej Hibernii. I są w tych dramatach jak i w innych dziełach Yeatsa: „The secret rose“, „The Celtic Twilight“, „Shadowy Waters“ mocne tężyzny, ustępujące znowuż miejsca lirycznemu tokowi i lirycznemu roztkliwieniu. Są w dziele artystycznem Irlandzkiego Wyspiańskiego i ekstatyczne partye, powstałe pod silnem wrażeniem chaotycznego, kosmicznego teozofa Williama Blakego (o którym Yeats dał dytyrambiczne studyum), jak również znajdą się może i dość niespodziewanie tony ironiczne sceptycznego balansu Heinowskiego. Czasem w jego poezyi grzmią turze rogi junaczych wojów-opojów starego Erynu („Śmierć Kuhoolina“), a czasem słychać pastuszą fletnię z upłazów górskich. Bywa zaś, że wielki chorąży „odrodzenia gaelickiego“ idąc torem swego uwielbianego mistrza, szaleńczego wizyonera, samotnika W. Blake, pisze wierszyki dziecięce, tak jasne i klarowne jak te wierszyki Irlandczyka W. Blake'a, drukowane w elementarzach ludowych i umiane na pamięć przez przeszło 100 milionów Anglosasów (A. Cradle Song, The everlasting Voices).

Drugim z głównych wodzów duchowych dzisiejszej Ligi Gaelickiej obok J. Syngego, lady Gregory i Columa, obecnie najfanatyczniej oddanym odrodzeniu Celtyzmu w Irlandczykach jest dziś do sześćdziesiątki nachylający się Jerzy Moore, przypominający niniejszemu pokoleniu swem nazwiskiem twórcę światowej sławy „Lalli Rookh". Jest to krasopisarz, z którym absolutnie nie umieją sobie poradzić krytycy miesięczników angielskich, dziś jak niegdyś łapczywie ciekawi *„quid novi ex Hibernia"*. Ostatecznie zaliczyli go obok O. Wilde'a, B. Shawa i Gilberta Keit-Chestertona w poczet „intellektualnych klownów", niepoczytalnych *enfants terribles*, których jednak czytać należy, nie biorąc sobie zbytnio do serca konsekwencyi tej lektury. Malarz z profesyi Moore długie lata przeżył w Paryżu. Tu z iście irlandzką łatwością asymilacyi przesiąkł skroś teoryami antysocyalnego egotyzmu, które od czasów Renana i Flauberta przeszły potężniejąc i rozszerzając się i na inne dziedziny w czasy Ed. de Goncourta, Barrésa, Bourgeta, Mallarmégo i współżyjących z nimi Anglików paryskich Hall Caine'a, Condera, Sherarda, Blancha, Dowsona.

Około 1886-go roku żył Moore w Pa-

ryżu, najintensywniej wchłaniając w siebie wszelkimi porami „stosowaną do czasów“ filozofię cyrenejską, wpatrzony jak w słońce w ołbrzymią maskę twarzy Renanoskiej, wielbiąc w Neronie pierwszego człowieka, którego światopoglądem stala się estetyczność, a klnąc Chrystusa, jako demagoga z Nazaretu, boga słabych, brudnych i niewolniczych. Nastrój antispołeczny z kultem „entuzyazmu“, „własnego ja“, „niewinności drapieżcy“ i t p. znalazł w zparyzyanizowanym malarzu świetne medyum do rozrośnięcia się w doktryneryzm silny a wojujący najjaskrawszymi tezami. Do jakiego zacietrzewienia antispołecznego, do jakiego radykalizmu artystoskiego doszedł ateliowy rezoner J. Moore, p[illegible]jaciel A. Gide'a i Marcela Schwoba, spółbi[illegible]siadnik Łazarzowych „hulatyk“ kawiarnianych Verlaina, a i... Zoli (?!) wielbiciel, tego obszerne świadectwo spisał w książce w 190[illegible] wydanej pt.: „*Confessions of a youngm[illegible] 1886*“, nowoczesnej spowiedzi, dziwactwie rozwałkowanem na setki stron, ale jednej z najciekawszych książek naszych czasów. W konfesyach tych „Paryżanin z profesyi“ Moore, wróg osobisty socyalisty z Galilei, rezonuje w sposób jaknajwygodniejszy i najrozgadańszy o tem wszystkiem co jest poza

peryferyą człowieka rezonującego, co się nazywa światem i życiem, a wobec czego artysta zająć ma pewne stanowisko, by na tem stanowisku dotrwać aż do kresu. Jest to kalejdoskop ideowy całej może spółczesności, pisany przez świadomego i odrębnie wszystko z życia przeżywającego myśliciela. W „spowiedzi młodego człowieka", a raczej „zgallizowanego Irlandczyka"—Moora radość z życia znajduje ujście najczęstsze w ślepych ciosach wymierzanych altruizmowi i rzekomo związanemu z nim patryotyzmowi, etyce mieszczańskiej, etyce filistra i t. p. Jerzy Moore czuje niby fizyczny wstręt do „obszarpanej Irlandyi", wielbi Cromwella, jako człowieka „odmładzającego ludzkość... okrucieństwem", wygłasza obrony wszelkich niesprawiedliwości, ucisków, krzywdzeń, ba nawet zbrodni, o ile one choć w części przyczyniają się do powstania dzieł rozumu i dzieł sztuki. Owszem, np. obrazowi Ingresa „Źródło" dodaje specyficznego uroku to przeświadczenie, że modełka, która pozowała do obrazu unieszczęśliwiona przez mistrza — umarła w szpitalu... Jerzy Moore rozprowadza w najróżnorodniejsze dziedziny życia idee amoralizmu, które znalazłszy niegdyś w Stendhalu tony czyste, kruszcowe i klasyczne,

z czasem przerodziły się w barokowe skrajności filozofii zbrodni Bulwera (Eugen Aram) by stwardnieć i skostnieć w brutalizmie teutońskim Strinera a dopiero w Zarathustrze usferycznić się i wyarchanielić. Ale Jerzy Moore ma w tem zasługę niepożytą, że idee te związane jeszcze z doktrynawi angielskiej „*sensual school*" doprowadza do tak najdalszych kosekwencyi, na których stają się one już tylko kompletnymi absurdami, paradoksami, kozłami dyalektycznymi czemś—co nie oburzając bawi, a ośmieszając dyskredytuje. I Jerzy Moore mefistofeliczny Cherubin, „młody człowiek z roku 1886", wierzy w całą prawdę kultu li tylko własnej jaźni „*quia absurdum est*", jak tego dowodzi każda strona jego spowiedzi drukowanej *aż w r. 1904* tj, wtedy, kiedy „młody człowiek" dawno już w sobie przezwyciężył rewolucyjną epokę ząbkowania egotycznego, pozę „wroga ludu", i wzgardę do „niewolnicy Irlandyi", ba, nawet antypatyę do bladego, chorowitego boga robotników i radykałów, „przemawiającego kiepskim żargonem aramejskim lub jeszcze kiepściejszą greczyzną". W tym samym roku, w którym wyszła Moora spowiedź młodego egoisty „z lat 1886" tj. w r. 1904 wyszedł i tom krytyk-interviewów znakomi-

tości brytańskiej W. Archera: *Real Conversations,* w których między innymi i Jerzy Moore informuje notabla krytycznego o swoich wierzeniach, idealach i pretensyach. Tu już przemawia odpowiedzialnie dojrzały, pełny człowiek, autor kilku powieści, dla swej socyalizacyjnej tendencyi bojkotowany namiętnie przez czytające bydło, odstraszający elegancką hałastrę już samymi realistycznymi tematami (powieść o kucharce: „Esthera Waters"), okrzyczany patryota-narodowiec irlandzki, współzałożyciel dublińskiego teatru narodowego"... *O qualis mutatio rerum.* Z Don Quichota antysocyalnych dogmatów, z jednego z prototypów dla Barresa „wykorzenieńców", z estety, kpiącego na wyżynach artystyczno-arystokratycznych sympozyonów — diners z brudu pijackiej Irlandyi i z zakusów niwelacyi, sięgającej już grubą łapą po monstrancyę Sztuki — pozostało tylko jedno: liturgia Piękna. Poodpadał w strzępach kostyum neroński i przepadło umiłowanie... Heliogabala. Cromwell zmalał do rozmiarów szczęśliwego zbira protestanckiego i hyeny czytającej sobie Stary Testament...

George Moore z roku 1886 a George Moore z 1904 (z portretu pisanego W. Archera) to jakby Szaweł paryzki, czysty poga-

nin, opiły eliximami Hartmanosko-Bárresoskiej dyalektyki sofistycznej, a Paweł nawrócony, z powagą zapatrzony w tragedyę społecznych potworności, w złą nędzę cierpliwej miazgi ludzkiej, w niedolę człowieka kobiety a wreszcie w niewolę wielkopańskiej swej ojczyzny Keltyckiej Irlandyi. Nie myślmy jednakże, aby autor powieści—ekspertyz analitycznych: „Evelyn Innes“, „Esther Waters“, „John Norton“, „Sister Terese“ i innych w czemśkolwiek abdykował i przeszedł w ideową płonną służbę bezimiennym rzeszom. Przenigdy. Jerzy Moore wzmocnił jeno i uświadomił w sobie ton spółczucia socyalnego a następnie większą w sobie swobodę dał instynktowi swej rasy, które to dwa akordy zresztą mocno rozbrzmiewały już i w „młodzieńcu z r. 1886“. Jeno: à rebours...

Że z wiary—już nie w zwycięstwo Piękna, ale w boskie posłannictwo Sztuki nie uronił ani jednego dogmatu, tego dają dowody nietylko jego dyssertacye estetyczne („Modern Painting“, „Impressions and Opinions“) ale właśnie jego powieści tak przesiąkłe, tak przeciążone dygresyami teoretycznymi, wycieczkami w światy muzealne, w światy pracowniane, w zagadnienia czysto artystycz-

ne, a tak rozepchane wprost dociekaniami filozoficznemi, że skutkiem tego i nie popularne w sferach dobrze wychowanego i dobrze ubranego mobu. Jerzy Moore i nadal jest sławą nieliteracką, a między-literacką, a jako „firma" na rynkach księgarskich bardzo słabo notowaną. Od popularności potrafił się ustrzedz właśnie z pomocą swego balastu myślowego i tego, że w swoich powieściach wszelkim awanturom i aferom przeznaczył minimalną rolę, na wyłączny benefis analizy dusznej, która u niego dochodzi do Flaubertoskiej omal pedanteryi. Powieść o śpiewaczce Evelyn Innes, dyagnozę sexualności kobiecej nazwano nawet angielską Madame Bovary dla tej właśnie chemicznej skrupulatności w badaniu „składu" duszy kobiecej. Tylko „Estera Waters" Moora nie potrafiła się uchronić od uniwersalnego sukcesu w całej Anglii. Czytano książkę tą, aby oburzać się i piętnować autora, który śmiał kucharkę „upadłą" t. j. matkę z dzieckiem równać do Madonny Rafaela; czytano dla często forsowanego realizmu w szczegółach, którymi w cichości cieszono się, potępiając je oficyalnie jako „zgniliznę erotyczną". Inne powieści, będące literaturą w literaturze, domagają się też publiki w publice,

a pełne niepokoju etycznego, starć wyspecyalizowanych, rozpływające się w refleksyonowaniu najdelikatniejszem, najwewnętrzniejszem, nie przedstawiają dla czytelnika z ulicy najmniejszego „pokrzepiającego" duchowego żeru. W takiej „Evelyn Innes" razić musi czytelnika w... „heroinie" nabożeństwo dla sztuki całkiem religijne i tak fanatyczne, jak fanatycznym i niezrozumiałym w Esterze Waters jest, jako w „prostej kucharce", kult dla misteryum macierzyństwa i cudu dziecka. Normalnym ludziom wszystko to wydać się musi hypersensytywnością, stanami chorobliwych przedrażnień, neurastenicznem przeczulstwem i „przefilozofowaniem". I ma holota gruboskóra racyę.

A już co najwięcej razić musi snoba angielskiego—to ustawiczne i maniacze zastanawianie się nad życiem i jego zagadkami; w tem Moore dochodzi do omal rosyjskiej kołowacizny pytań zawieszanych w powietrzu, nieznajdujących odpowiedzi, a dających się tylko „omawiać". Los, Wola ludzka, Przeznaczenie, Przypadek, Nieszczęście na każdej stronie jego pism zajmują wiele... miejsca, rozświetlane ze wszystkich stron dyalektycznie. Z zastanawiań się nad życiem dochodzi Moore, przyjaciel wygi-dandysa Whi-

stlera do niczem już niewstrząśniętej maxymy, „że wszystko, co żyje—zasługuje temsamem na litość“. I smętek tej maxymy przepaja jego ostatnie dziela, kłócąc się przedziwnie z jego groteskową sarkastycznością, i z brawurą myślową, i z tą namiętnością porania się z każdem hasłem, każdą ideą, każdą teoryą bieżącą dla zwalczenia jej i zdyskredytowania. Dlatego też tak nieuchwytnym i niedającym się na stale zdefiniować i ugruntować jest autor „Spowiedzi mlodego czlowieka z 1886“ dla krytyki angielskiej. Prawdopodobnie jednak wieleby im się zaczęło rozświetlać z „dziela“ Moora, gdyby do ujęcia jego wymijającego się fenomenu przystąpili wychodząc z pewnych właśnie r a s o w y c h i r l a n d z k i c h z n a m i o n charakterystycznych, jak: gorące i bezpamiętne branie do serca wszystkich kolejno hasel, prawie dziecinny brak rezerwy wobec wszelkich zewnętrzności, z żywem spólczuciem i interesem dla wszystkiego, co z zewnątrz. Są to przywary rasowe Irlandów, ale i dane psychiczne każdego artysty; skondensowane w Jerzym Moore daly perceptywność pisarską tak czulą, że owocem jej jest kilka książek, będących poprostu odbiciem duchowej teraźniejszościna „nieskalanej tablicy“ duszy artysty.

Ten to Jerzy Moore egotysta, kosmopolita i Paryżanin *in partibus infidelium*, onegdajszy inspirator Whistlera i Wilde'a należy dziś w Dublinie do grupy gaelickiej i do najżarliwiej odkopujących „zagrzebane świątynie“ celtycyzmu!...

I oto ciekawem i charakterystycznem jest przyjęcie, jakiego doznała w samych początkach Liga Gaelicka, jej pionierzy i założyciele, i jej literatura ze strony t. zw. społeczeństwa. Pomijając earlów irlandzkich t. j. „noblessę“ od stu lat kompletnie i bezpowrotnie zanglizowaną—trzeba przyznać, że i średnie, posiadające sfery, *respectable classes*, jak i normalny filister... odnieśli się do Ligi początkowo z nikczemną nieufnością i wzgardą. Trzeba było dużo twardego i zdeterminowanego heroizmu garstki gaelickiej, żeby znieść całą kontr-akcyę sfer rządowych, biurokratycznych, oranżystów, zgrupowanych koło potężnej twierdzy naukowej dublińskiego Trinity College, niechęć początkowo i kleru katolickiego, następnie szyderską postawę przepotężnego filistra, kpiącego sobie obojętnie ze wszystkich akcyi (o ile nie są giełdowemi), a wreszcie i polityków profesyonalnych, „fachowych“, parlamenckich posiadaczy monopolu na „dobro ojczyzny“,

na „miłość ludu“ i zawistnych, że bez ich współudziału dokonało się tak wspaniale to renesansowe dzieło, które, przyznajmy z góry, z ich współudziałem prawdopodobnie byłoby ugrzęzło w partyjnem bagnie konkurencyjnych szantażów, londyńskich szantanów i bankietowych szampanów. Polityków profesyonalnych drażniła przedewszystkiem czujnie przestrzegana bezpartyjność Ligi, w której obok zdeklarowanych separatystów, republikanów lub radykalów członkami byli i miarkowani... oranżyści! Zniechęcało zaś tych panów kierownictwo Ligi, leżące wyłącznie w rękach uczonych, folklorystów, fantastów, poetów i artystów, zaczem ludzi nieodpowiedzialnych, nie „realnych“, platoników. Sfery snobie, anglomańskie, t. zw. *shoneens*, małpujące we wszystkiem epidermę kultury londyńskiej cytowały patryotyzm Parnella, aby ośmieszyć celtyzm dr. Hyde, powoływały się na takie autorytety bagatelizujące całą kulturę skandynawsko-normandzko-celtycką, jak mr. Fitzgerald lub *senior-fallow* z Trinity College mr. Mahaffy t. j. na uczonych w stylu mniej więcej prof. Iłowajskiego. Dlatego też „Liga gaelicka“, znająca dobrze swój materyał „rodaczy" ze sfer uświadomionych i „sytuowanych“ zwró-

cila się z pierwszymi apelami do młodzieży, do istotnie twórczej inteligencyi i do warstw drobniejszych, nieposiadających. Z tych zrekrutowała sobie pierwsze kadry i tymi świeżymi silami zwyciężyła. Po przydługiej epoce walki agrarnej, politycznych targów i parlamentarnej kolowacizny nastał czas narodowego skupienia się, odżycia zadżemanej energii wewnętrznej, ekspansywności duchowej, ściśle—epoka tak spotęgowanego życia intellektualnego, że wobec sukcesów moralnych celtyzmu, wobec tryumfów arystokratyczno-artystycznej kultury nad cywilizacyą aroganckiego Albionu, wszelkie klęski peryodycznych nieurodzajów, wylewów, głodów, nizka industrya, prowokacye policyi i garnizonów (*constabulary*), a wreszcie żądza „domu własnego" spadły w swej wrażenności do rozmiarów małych i nikłych.

I aczkolwiek emigracya za ocean trwa (choć znacznie zmniejszona) nadal i chociaż wiele plag innych trapi ten nieszczęsny szmaragdowy Eryn, — to jednak minął już bezpowrotnie tak okres „plantacyi ulsterskich" t. j. masowych wywłaszczeń, jak i okres masowych wynaradawiań. Wraz z ożywieniem kulturalnem wracają dawne kardynalne arcypolskie rysy Irlandów: romantyczna eruptyw-

ność, dobrotliwa wesołość. to znów talent entuzyazmowania się, a jeszcze i rozmarzalność panteistyczna. Najstarsi z Aryów otrzymują powrotnie z rąk swojej Ligi gaelickiej prawo posiadania narodowej duszy. Oby tylko nie sprzedali swego pierworodztwa za miskę lichej soczewicy, za „dom własny" z oknami czysto anglosaskiego na świat poglądu! Erin go bragh!...

— — —

Arystofanes po polsku.

Pięknym dokumentem żywotności i bezinteresowności kulturalnej, o ile chodzi o przyswajanie nam skarbów ducha z szerokiego świata, jest przedsięwzięcie, jakie sobie zadał p. E. Cięglewicz z Krakowa—przełożenia dosłownie całego Arystofanesa na język polski. W dziedzinie pracy literackiej, ocenianej pod kątem nie tymczasowości, a wieków, jest przedsięwzięcie p. Cięglewicza chlubną miarą czujności, z jaką dostrzegł on ten istotny brak naszego piśmiennictwa. Arystofanes, autor bardzo modny temu wieków dwadzieścia i cztery, obecnie zaczyna przeżywać powrotną aktualność; rzecz to nie do uwierzenia, a jednakże prawdziwa; w Paryżu grają go obecnie eksperymentalnie, w przeróbkach oczywiście, tak, jak wszystkie dzieła tak greckiego, jak i szekspirowskiego

dramatu. W Niemczech w ostatnich dwóch latach grano komedyopisarza IV wieku przed Chrystusem na kilkunastu pierwszorzędnych scenach w tłomaczeniach to Adolfa Willbrandta, to Wolfganga Kirchbacha. Pokazuje się więc, że muszą w nim być momenty takiej żywotności i nieśmiertelności, których ząb czasu ni tknąć się nawet nie ośmielił. I tak jest rzeczywiście. jak się o tem przekonywujemy z wprost klasycznych tłomaczeń p. Cięglewicza, z którym odtąd p. Bogucki (świetny tłomacz Lukyana) dzielić chyba będzie musiał zaszczytny przydomek: hellennikotatos panton...

Dlaczegóż więc u nas dotychczas, przeważnie tak mało, interesowano się Arystofanesem? Oto dlatego, że czytanie go w oryginale sprawiałoby nawet filologicznie wygimnastykowanym amatorom niezwykle trudności, a czytanie go w jedynych polskich tłomaczeniach J. Szujskiego lub Mottyego (koło r. 1866) wywołuje niemiłą zjawę nudy. Dopiero istotny zapał i egzaltowane dla mistrza ukochanie p. E. Cięglewicza zdołały wlać gorące życie w tekst i ożywić krwią żywych strofy i antistrofy, parabazy i agony attyckiego pamflecisty. Sądząc z dwóch dotychczasowych komedyi, „Żab" i „Chmur",

tłomaczenie reszty, t. j. „Sejmu Babiego". „Lyzystraty", „Acharnów", „Rycerzy", „Plutusa". „Os" i czarodziejskiego „snu nocy greckiej": „Ptaków", już dziś zapowiada się świetnie. Na czem tedy polega ta doskonałość, która sprawia, że aktualne (bo genialne), ale bądź co bądź liczące przeszło 2300 lat utwory czyta się za jednem posiedzeniem? Oto generalnie na tem, że tłomacz istotnie głębiej i szerzej zna język, w którym tłomaczy, jak język, z którego tłomaczy, co za tem idzie na każde słowo obce ma pod ręką dwadzieścia synonimów, tam gdzie bakałarze i „specyaliści w grece" mieliby zaledwie pięć lub mniej. Kwestya dobrego tłomaczenia jest przedewszystkiem tylko kwestyą bogactwa dźwiękowo-słownego, jakiem rozporządza tłomacz. Skarbiec słów, to dla tłomacza kapitał, z jakim puszcza się na śmiałe przedsiębiorstwa. Nauka wykazała, że z poetów światowych największy skarbiec słów miał Szekspir; przeciętny Europejczyk, o uniwersyteckiem wykształceniu ma ich 10,000, murzynowi wystarcza 400; kapitał słowny warszawskiego literata dochodzi do imponującej cyfry 900... Kiepski tłomacz jest to Wandal z maleńkim kapitalikiem 3,900 słów, rzucający się na wielkie afery, świa-

domy parodysta i lekkomyślny szwindler. Posiadanie w zapasie pięciu synonimów tam, gdzie poeta (utalentowany utracyusz) ma ich przewiele na wyrażenie swych zmiennych odcieni myślowych, nie wystarczy do tłómaczenia pisarza już i trzeciej gildyi. Tymczasem zaś im większy pisarz, tem wierniejszy wyraz słowny nadaje swym myślom, ba nawet sam słowa rodzi, polegając tylko na swej duchowej komunikacyi z żywotnymi głębinami językowymi. I dlatego to im więcej poetów z rasowem sumieniem i plemiennem samostwierdzeniem się ma jaki naród, szczególnie naród zagrożony, tem byt języka, tej absolutnej, wieczystej duszy organizmu narodowego jest trwalszy. Żeby już jako tako wyczerpać kwestyę tłómaczenia, dodać należy, że prócz bogactwa słownego, drugim warunkiem idealnego tłómacza jest bezwzględne, poufałe oswojenie się i wżycie w całe dzieło twórcze przyswajanego pisarza. A więc odcyfrowanie jego stylu, t. j. rytmu jego prozy, dalej powtarzającej się chronicznie budowy zdań i okresów, uprzywilejowanych kombinacyi słownych, charakterystycznej osobistej struktury myślowej, no i zasadniczego kolorytu słów. Oczywiście trudności wszelkiego tłómaczenia potęgują się niesłychanie

przy poezyi istotnej. Tu już, gdy i forma i treść słowna są omal tożsamością (bo myśl poety rodzi się już w metrycznej strukturze), tu już nie wystarczy i ślepa wierność w umiarze wierszowym, w równomierności akcentowanych i nieakcentowanych zgłosek, ale potrzebną jest i wierność d r u g i e m u wolniejszemu r y t m o w i zgłosek, m n i e j lub w i ę c e j akcentowanych. Następnie: muzykalne odgadnięcie spadku tonów, malarskie odgadnięcie kolorytu słów poety, a wreszcie uchwycenie właśnie nieuchwytnego nastroju, zaklętego magią poety w dźwięku, w rytmie, tempie, pauzach i t. d., tego nastroju, rozumowo nie skontrolowanego, a u artysty najosobistszego „nervus rerum”. Do tego potrzebną jest kongenialność i rodzaj wtórnego natchnienia, jak wiadomo rzeczy rarytne i niebywałe. Dlatego tyle tłomaczeń jest złych, dlatego Dante uważał siebie za nieprzetłomaczalnego a Shelley twierdził, że tłomaczenie poezyi to tož samo, co wrzucenie fijołka w retortę na to, aby odnaleźć istotę fijołkowego zapachu i barwy. „Kwiat zaś może tylko z nasienia wyrość, albo nie będzie kwiatem”.

Dygresyjka ta wydaje mi się bardzo naczesną wobec faktu, że wielu wcale utalen-

towanych poetów doszlo dziś wreszcie do bardzo dla literatury profitywnego przekonania, że lepiej jest doskonałe rzeczy dostojnie tłomaczyć, niż anemiczne effuzye liryczne mozolnie koncypować. Rośnie dziś u nas liczba świetnych tłomaczów (Morawski, Porębowicz, Lange, Wyrzykowski, Miriam, Staff, Mirandolla, Sten) a i pomniejszy narodek, przyswajający powieści z języków dalszych, jak z duńskiego, angielskiego, hiszpańskiego... ba i japońskiego — doszedł wreszcie do uznania trafnej maksymy: że lepiej jest rzecz egzotyczniejszą przetłomaczyć dobrze z drugiej ręki, t. j. z francuskiego czy niemieckiego, jak kiepsko z oryginału (i... choćby z osobistem pozwoleniem autorów).

Dotychczasowe tłomaczenia wielkich panów greckiego dramatu i poezyi bywały całkiem biedne: to suche, to wodniste, galaretowate i letnie, to blade, to sztucznie zaróżowione, to pedantyczne, to swywolne. „Iliada" w p. St. Mleczce nie znalazła nowego Piotra Kochanowskiego, „Odysseja" dość jeszcze żywotna w Siemieńskim, czeka nadal na mistrzowski rylec Rydlowy, „Sofokles" Węclewskiego, jak i „Sofokles" K. Kaszewskiego starczą, ale są już mocno star-

cze—i młodzieży t. j. swoich czytelników koniecznych i upragnionych nie rozgrzewają i nie zachęca. Od prof. Czubka po Antygonie i Edypie Królu spodziewamy się w dalszym ciągu równie mocnych i brzmiących tężyzną staropolską: Trachinek, Filokteta, Edypa w Kolonos i Elektry; wtedy Sofoklos będzie radośnie wliczony do żelaznego kapitału naszej literatury. Aischylosa tłomaczy Jan Kasprowicz.

Tylko biedny Eurypides, romantyczny dekadent, egzaltowany, uczuciowy erotyk, zagorzały progresista, bojowiec wolnej kobiety, rzecznik emancypacyi ciała, czeka cierpliwie na swego... L. Rydla.

Pan E. Cięglewicz dokonał tłomaczenia „Chmur" i „Żab" w sposób wyzywajaco odważny i urągający wszelkim dotychczasowym wiernym aż do służalczej pedanteryi tłomaczeniom z autorów klasycznych. Przedewszystkiem, wchłonąwszy w siebie Arystofanesa i całą atmosferę jego środowiskową, uświadomiwszy sobie do ostatnich szczegółów moment historyczny jego wystąpień, doszedł do przekonania, że Arystofanes to poprostu Rabelais Attyki z IV wieku, Centaur pełen witalizmu, bezprzykładnie zuchwały patryota, broniący z zagorzałą mocą wszel-

kich „najświętszych dóbr greckich"; a to wszystko jednak *plus ethos*. No i ta właśnie nadwyżka, ciągniona za włosy już przez wielu entuzyastów-profesorów, powtórzona z głębokiem przekonaniem i temperamentem przez p. Cięglewicza, jest zdaje mi się, silną mylką i niepotrzebnym glejtem na drogę w czytelnictwo. Arystofanes bowiem, mojem przekonaniem, był to niezwykle nawet w Grecyi genialny filister, tak jest, z krwi i kości filister, mocno podtyly na hecującym i judzącym szowiniżmie attyckim, środowiskowy chwalca i plemienny megaloman, zohydzający przed zmiennem i fałszywem pospólstwem wszystko co górniejsze, szczytniejsze, trudniejsze, twórcze i ziarenka wyższej nadchodzącej etyki noszące. Poznajemy go najlepiej po tych, na których rzucał się wprost z potępieńczą brutalnością, których żywcem przed 30,000 Ateńczyków w teatrze Dyonyzosa obdzierał ze skóry, wyszydzając ich z siłą, której wściekłość dziś jeszcze przeraża i podziw budzi: po Sokratesie i Eurypidesie. Zgadzamy się z Arystofanesem, kiedy on olbrzymi bicz siekących jambów podnosi na katylinarną egzystencyę warchoła Kleona (Rycerze), tego zaczajonego despotę, wyrosłego z mętów gar-

barskiej halastry na ateńskiego samodzierżcę glupawym przywilejem powszechnego glosowania motlochu. Ale Sokrates, ale Eurypides? Przypominają się wprawdzie ustępy z Nietzscheańskiego: „Zmierzchu bogów", gdzie Sokratesa przezywa Zarathustra (za Zenonem) wprost „Hanswursztem, który się bral na seryo", ale i fajerwerków Zararathustry nie można przecież zawsze brać na seryo. Że Arystofanesa, burleskowego pornografa do furyi doprowadzal Sokratesowski kult rozumu „i nic po za rozumem" i jego nauczanie dyalektyki, głębia i powaga jego refleksyjności, to jeszcze można rozumieć jeśli się zważy Arystofanesa artystyczne umiłowanie mitologicznych mytów, eleuzyńskich mysteryów, igr Dyonyzejskich i skroś egoistyczną obawę autora teatralnego, że filozofia oślepiającem swojem światlem odciągnie poprostu nie tylko mlodzież, ale z czasem i szeroką p u b l i c z n o ś ć od świątyni sztuki, a pchnie ją w objęcia sofistów i dyalektyków, uderzających taranem czystego rozumu i empiryami nauk przyrodniczych w piękne mgławice poetycznego Olimpu. Arystofanesa archaistę draźnila zgola antifilisterska i antiestetyczna abnegacya w szkole u uczniaków Sokratesa, ich mistrza pycha

myślicielska, sceptycyzm religijny, obojętność dla teatru i kultu Dyonyzejskiego i osłabienie agresywnego napięcia patryotycznego. I wraz dopatrywał się w tem filospartanizmu, a wzgardy dla zdrowego ciała, dla estetycznego smaku, dla muzyki, śpiewów, dla piękna. Doktryny, owocodajne dla ludzkości, miał za szkodliwe dla Aten. I genialny mieszczanin ateński postanowił sobie unicestwić Sokratesa: „uwodziciela młodzieży" „idiotesa", t. j. człowieka, stojącego na uboczu i gardzącego hałaśliwym parlamentaryzmem agory, filozofa. Napisał tedy długo opracowywaną dyfamacyę Sokratesa, wystawił i ośmieszył. Ale ostatecznie sztuka „po jednym spektaklu" padła i musiano ją „zdjąć z afisza" lat temu 2312. I aczkolwiek za skazanie na śmierć (w 24 lata później) Sokratesa, tego dyskredytującego Olimp pierwszego „Jana Chrzciciela Chrystusa", Arystofanes żadnej odpowiedzialności nie ponosi, to jednak obelżenie tak gwałtowne i nieprzyzwoite metafizyki, hańbą spadło na pamięć cynicznego filistra a genialnego patryoty Arystofanesa.

Utwór ten w prześwietnem lekko archaizowanem i lekko ludowo udosadnionem, urubasznionem tłomaczeniu p. Cięglewicza,

czyta się mimo owoczesny balast aktualny i mitologiczny, jako rzecz zgola dzisiejszą.

Druga satyra A.: slynne „Żaby", zwrócone są ostrzem swej furyi polemicznej przeciw Eurypidesowi. Podstawcie na miejscu Eurypidesa któregokolwiek z wielkich dramatystów dzisiejszego pokolenia, a będziecie mieli rzecz tak ludząco dzisiejszą, że wprost aż „smęt oblatuje" czlowieka, że się tak wszystko, wszystko w życiu powtarza.

Wzorowy burżua attycki, aby mieć oparcie moralne dla swej demonicznie wścieklej satyry, symuluje w imponująco ludzący sposób kult swój dla tytana dramatu Aischylosa, twórcy typów mocnych, zdecydowanych, grzmiących, by tym dębowym, olbrzymim rasowego zdrowia idealem jak taranem bić w problematyka, w psychologa, w katafizyka erotyzmu, w myśliciela Eurypidesa. Rozszalaly w swych koprolaliach kaplan Pryapa, autor najbezwstydniejszej „cochonneryi" „Lizistraty", rozrzucający po wszystkich swych utworach obrazki i zwroty wprost apelujące do stojącego Phallusa zwalcza niby nadmiar Erosa w Eurypidesie.—Szyderca bogów (już wonczas ze stanowiska Offenbacha) oburza się i grzmi na uczuciowy sceptycyzm Eurypidesa i podżega przeciw pamięci

już zmarłego autora „Phedry". „Istinno prawdziwy" Ateńczyk pastwi się w sposób monumentalnie bezecny i niegodziwy nad subtelnościami etycznymi, nad głęboką ludzką bezzaradnością tragicznych królów, nad kwestyonowaniem nie bardzo już potężnego ducha obywatelskiego ateńskiego, nad subtylizacyę dyalogu, nad ideologią przyjaciela proletów, nad... prologami. Sybaryta, wypisujący aż trzy (znane) komedye za pokojem (za każdą cenę) a przeciw wojnie, wystawiający płaskie rozkosze żołądka i chuci, ogniście wesoły materyalista wypowiada polemiczną wojnę temu, który niby w powinowactwie duchowem ze sofistami budzi łzy litości dla biedy, rozdelikaca obyczaje, stępia poczucie hartu i tężyzny a spekulacyami etycznemi wątli stary, odziedziczony, pogodny (?) światopogląd helleński. Ot, poprostu protoplasta i duch o p e r e t k i wypowiada zażarty bój t r a g i c z n e m u pierwiastkowi duszy ludzkiej. Patryota 70,000 Ateńczyków w krótkowzroczności szale bije pałką polemicznej werwy w ekkleziastycznego pesymistę. Faworyt zdrowych żołądków obywatelskich wyszydza — myśliciela i romantyka. Krótko mówiąc—ulubieniec (zresztą świetny w ognistej argumentacyi) egoistycznej b u r ż u a z y i

rzuca się w imię moralności rentownej na rzecznika uczuciowej inteligencyi. I tu już trzeba się zdecydować. Można z Arystofanesem się śmiać, kiedy depce trywialnego arrywistę, rabskiego Rabagasa, Kleona, bije mu się entuzyastyczne brawo przy nieśmiertelnym dyalogu „pyskacza" a szefa nawy państwowej z kiełbaśnikiem; sekunduje mu się, gdy urąga z adwokacików demokratycznych, sykofantów, pokątnych doradców, retorów z wilcza głodnych obywatelskiej karyerki, z tych „radykal-liberałów" ówczesnej Attyki, ale odczuwa się do jego (z rzekomego patryotyzmu wypływającej) „mądrości praktycznej", do jego „zdrowej myśli", „krzepiących serca" effuzyi satyrycznych i t. p. właściwie wstręt, gdy rzuca się on, zapieniony pryapejczyk na typy od urodzenia: „wydziedziczone ze szczęścia", na spekulacyi metafizycznych męczenników.

Tłomaczenie „Żab" jest również zachwycające.—Pan Cięglewicz dokumentuje w sposób świetny, jak przebogatym, gipsowo podatnym, skromnie uległym jest nasz Sezam, nasz język. Udają mu się niezwykłe harmonje wokalne wzbogacające nasz stan posiadania językowego.

Od „Kazań Świętokrzyskich" do gwary

zakopańskiej, od przysłowiowych zwrotów do rdzennych ludowych powiedzeń, wszystko dostarcza tłomaczowi zapasu słownego. Dosadność odcieni językowych zbliża p. Cięglewicza w sąsiedztwo pierwszorzędnych władców naszego słowa. Kunsztowność metryki i rytmiki nie mają sobie wiele równych w naszej tłomaczonej literaturze. Przychodzi jeno żałować, że autor nie zaczął swej monumentalnej pracy od przekładu „Ptaków" lub „Rycerzy". Tych bowiem ostatnich możnaby po bezlitosnem usunięciu obciążających lokalnych szczegółów grać na wszystkich trzech scenach polskich i działałyby mocno pedagogicznie, otrzeźwiająco i aktualnie. Tak zaś tłomaczone dotychczas „Żaby" i „Chmury". idące na pierwszy ogień, a nadto zaopatrzone wstępami, sofistycznie doskonałymi ale sokratycznie nagannymi mogą zniechęcić właśnie młodzież, t. j. materyał o skroś zdrowym instynkcie moralnym, żadnych adwokackich kruczków nie uznający, sykofanctwu oporny, tę młodzież, którą wszelkimi siłami należy zwracać ku źródliskom wszelkiej cywilizacyi — ku Grecyi i jej literaturze. Jeżeli bowiem trafnem jest określenie Ary-

stofanesa jako „uskrzydlonego węża...”; to tak „Żaby” jak i „Chmury” pisane są ze stanowiska tego węża, przewalającego się w błocie i dalekiego bardzo od swego podniebnego ognistego lotu w „Ptakach” lub nawet od promieniejącego bachicznego humoru „Rycerzy” i „Lizistraty”.

Aryanie.

Fundamentalną zasługą od kilkunastu już lat poczętej rehabilitacyi XVII wieku literatury polskiej, przezwanego zbyt pośpiesznie jezuickim i makaroniczno-panegirycznym, tej rehabilitacyi, dokonywanej dziś skrzętnym mozolem kilkunastu już uczonych, stanie się z czasem bez wątpienia ekshumacya więcej niż interesującego świata Aryanów czyli Braci Polskich i ich zadziwiającego piśmiennictwa.

Ogół naszej inteligencyi, mający szczególnie mało czasu na jakiekolwiek duchowe życie i intellektualne interesy, jak o wszystkiem mętne i nieuchwytne pielęgnuje pojęcia, tak znowuż o Aryanach poprostu na najwątlejsze nawet by prawdzie zbliżone nie zdobył się wyobrażenie. Przeważnie utożsamia ich (co tu dłużej ukrywać) z Ormianami...

Ogół inteligentny wie coś o tem, że gdzieniegdzie po kraju są ruiny ich zborów i kaplic, w których odprawiali podobno... mniej więcej „czarne msze“, że z kraju naszego

wypędziła ich wzmożona reakcya katolicka za Jana Kazimierza, że wreszcie kumali się oni ze Szwedem i zdradę knowali, za co bardzo tragicznie od Opatrzności skarceni, w rozproszeniu i we wygnańśtwie marnych żywotów heretyckich dokonali.

Tymczasem tak nie jest. Dziś — jeszcze w ciszy gabinetów uczonych, ale już zda się z wytężonym pośpiechem dokonywa się zwolna ekshumacya tego imponującego swą myślową głębią świata. Maluczko (to znaczy u nas za lat pięćdziesiąt), a rezultaty studyów uczonych staną się chlubną własnością całej inteligencyi (to znaczy u nas pięćdziesięciu tysięcy). Zwolna upadnie dziś silnie wkorzenione pojęcie, jakoby Aryanie a Ormianie byli tożsamością; z czasem zaś wiadome konszachty ze Szwecyą, protestantyzmem i omal... hakatystami okażą się jeno jednostronną przesadą, jak to już udowodniła nauka, świadoma zresztą układów ze Szwecyą nawet u tak, jak ksiądz Kordecki ortodoksalnych i ukochanych bohaterów narodowych.

Wreszcie zniknie i konwencyonalny myt o wypędzeniu Aryan przez reakcyjny fanatyzm katolicki wobec tego, że nawet protestanccy uczeni (pastor Lauterbach) większą jeszcze przeciw nim zaciekłość przypisują

inkwizycyjnemu duchowi protestantów i kalwinów polskich.

I wyloni się z przepomnienia i nieegzystowania promienisty i wyrazisty kraj Braci Polskich, istotnie pierwszorzędnej kulturalnej wartości i wagi, jedynie u nas zdolny do zainteresowania sobą Europy, wypłynie na powierzchnię samowiedzy narodowej świat tak całkiem niby nie nasz, a jednak bardzo nasz, tak odrębnie intellektem wyniosły i rozrosły, atoli tak przytem temperamentem a animuszem swojski, dziwnie ludzki; tak myślami górny, chmurny i strzelisty, a tak życiowo zawadyaczy, rogaty i polski.

Dziś jeszcze dumni tylko z naszego jaśnie oświeconego humanizmu w 16 wieku i z naszego wielmożnego (z narodowej niewoli) romantyzmu w 19 wieku, już może jutro (licząc *sub specie aeternitatis*) będziemy mogli sobie samym i Zachodowi przedłożyć nowy, całemu *światu żywotnemu* dostępny, mniej bolejący i mesyanizujący, ale zato więcej ludzki i więcej prozaiczny dokument naszej cywillzacyjnej równorzędności z innymi nacyami, prezentując im ten wzruszający, świetny szereg do zuchwalstwa śmiałych myślicieli, spokojnych racyonalistów, subtelnych dyalektyków, serca peł-

nych materyalistów, logicznych doktrynerów, egzaltowanych moralistów, wytrawnych sceptyków, rzetelnych monistów; szereg mędrców o wysokim, gorącym klimacie duszy, antycypujących w swych broszurach. Z pierwszej polowy 17 wieku, całą moc, caly wyrój idei, dziś dopiero z obsłonek wychylających się na świat. Bedzie z naszych Aryanów istotnie szereg „zmarlych, którzy mówią“ i którzy mówić do nas będą w ciągu XX wieku.

Nim jednak ukażą się szczegółowe, źródlowe prace naszych uczonych (prof. Brückner, prof. Grabowski prof. Merczyng), nim ogól nasz szerszy zaznajomi się z gotowemi już pracami Niemców, Rosyan, Anglików (pp. G. Focka 1847, Kruske, P. Henschela, Bartelsa, H. Daltona, E. Lückfiela[1]), Sembrzyckyego[2]), Lewickiego, prof. Lubowicza, nim opracowana będzie polskiemi siłami jakaś monumentalna monografia „Braci Polskich“ i nim kilkanaście najciekawszych zabytków ideologii aryańskiej będzie przetlomaczonych z łaciny i przedrukowanych, np.

[1]) Socynianizm i jego rozwój. Halle 1892.

[2]) Die polnischen Reformirten und Unitarier. Königsberg 1893.

Dziennik Smalcyusa w Lipsku w 1729 wyd., Vergeriusa podróż po Polsce w 1556, Arciszewskiego Krzysztofa, Pieśni Polaka dyssydenta, sławnego rządcy Brazylii, dziś już, na podstawie pierwszych jaskółek, pierwszych prac dotychczasowych, jeszcze niejako wstępnych, introdukcyjnych, już wywnioskować można, jak rozległe aspekta, jak dalekie perspektywy otwierają się stąd całemu zwolna odnawiającemu się, jutrzejszemu życiu duchowo mocniejszej Polski.

Wielkie zwały książeczek, polemik, programów i propagand aryańskich leżą dotychczas w bibliotekach i antykwarniach głównie Amsterdamu i Rosztocku, Londynu (Vojnicz), Koloszwaru, Lipska, Frankfurtu i Monachium. stąd to zwolna wyławiają je poszukiwacze i smakosze, do najostatniejszych czasów głównie angielscy, od przedwczoraj niemcy, od wczoraj zaś, odkąd ultramontanizm z patronatu nad literaturą polską nieco pofolgował, wreszcie i polscy.

Do wczoraj tak uczeni badacze w swych elaboratach nad reformacyą polską, jak i literaci w utworach powieściowych, przedstawiali w możliwie najciemniejszych tonacyach ten „odszczepieńczy" świat „Nurków", Nowochrzczeńców, Antytrynitaryuszów, Samosate-

nów, Anabaptystów, czem wszystkiem mianowano Aryanów. Jak dawniej J. Łukaszewicz, kanonik Bukowski, jak nawet i Adryan Krzyżanowski i prof. Zakrzewski (najmniej) raczej ze stanowiska zagorzałych pamflecistów klerykalnych sądzili tę etycznie najpodnioślejszą grupę kultury polskiej, tak również nie szczędzili barw czarnych w ich deprecyonowaniu powieściopisarze: H. Rzewuski w „Adamie Śmigielskim“, Kraszewski w „Malepartach“ i „Macosze“, Antoni Wieniarski w powieści p. t. „Wysokie w XVII wieku“, (Petersburg M. Wolff. 1851) a wreszcie Wiktor Czajewski w poweści „Jonasz Schlichtyng“ 1888.

Ludzi, których pierwszym dogmatem było: *homo homini deus* i którzy na trumnach swych kładli napisy ciężarne swą treścią: *Scio cui credidi*: Wiem, w com wierzył... (przynajmniej...), tych pierwszych polskich gnostyków, platoników, skromnych, i całkiem z doczesności abdykujących perypatetyków, przedstawiały tak pierwiastkowa nauka polska, jak tradycya i jak ich służka literatura, jako w jaskiniach zborzyszcz i piwnicach przeklętych kryjące się bandy karbonarów pół głupkowatych, a pół występnych.

Dziś, gdy dopiero przychodzimy do u-

świadomienia sobie stanu przeszłych naszych dostatków kulturalnych i przeszłej mizeryi tych stanów, dziś również w czasach rodzącej się z finalną konsekwencyą nowej reformacyi w Europie... dziś można i trzeba pomagać do wylaniania się z historyczności polskiej całego kompleksu kulturalnego Aryanów, gdyż jest to obszerny śpichrz zdrowych, podniecających, twórczych, realnych idei, pokrewnych wszystkim owocnym i cywilizacyjnym ideom pozytywnego świata; zarazem zaś jest to wielki, wielogłowy i wielotomowy argument nie jakiejś mistycznej, ale racyonalistycznej polskiej inteligencyi.

Tragedya Aryanizmu, będąca także jedną z miniatur tragedyi polskiej, jest też nowem ostrzeżeniem i zastanawiającem mementem dla pokoleń XX wieku; Aryanów wyżeniła z Ojczyzny i rozrzuciła po Europie nie tyle solidarna katolicko-protestancka reakcya, ile ich własny pęd do wypełniania ideału wolności (tym razem) myślowej i rozumowej, aż do jej najostatniejszych konsekwencyi. Aryanów wygnały z Polski nie gniew Władysława lub śluby Jana Kazimierza, ale ich własne rozmiłowanie się w skrajnościach a antynomiach, w etycznych i socyalnych ekstremach, niemożliwościach, nieprawdopodo-

bieństwach, ich żywiołowo polska niechęć do arystotelicznej *mesotes:* do umiarkowania w rewizyi pojęć religijnych. Zarazem zaś ich buńczuczność dyalektyczna, żądza likwidowania natychmiastowego wszystkiego, co tylko z przeszłości nabyte, no a generalnie ich omal przelicytowanie się w utopijnościach.

Indywidualizm rdzenny, plemienny, tu znajdujący ujście w stwarzaniu sobie swojego Chrystusa i samoistnego chrystyanizmu, doprowadził ich do tego, że nie było trzech między nimi, którzyby się na jeden katechizm moralny godzili. Dwóch wypędzonych ze swej siedziby, na jednym wozie z całym dobytkiem jadących na wygnanie, na obczyznę, w drodze w taki wpadało „ferwor kontradykowania" (nad dawno już przedyskutowanym problemem Trójcy Katolickiej), że jeden z nich „z furyjej" wysiadł i szedł już wypędzony z Ojczyzny... piechotą...

Inni dziwili się, że magnaci, do których listy „opamiętanie przykazujące" piszą, nie wypełniają natychmiast ich rozkazów „chrystyańskich", nie rozpuszczają służby i dworu, nie rozdają ziemi między lud, nie składają republikańskich dostojeństw, a sami nie przyoblekają się we włosiennice, w „kopieniaki". Inni znowu, podczas tea-

tralnie efektownych katolickich procesyi, napadli na księdza, niosącego monstrancyę, i w oczach głupiutkiego, ale nastrojem mistycznym uszlachetnionego tłumu, wyrwawszy monstrancyę, rzucili ją w błoto, w hyperidealistycznym zamiarze oduczenia tłumu „bałwanochwalczego fanatyzmu“ *właśnie aktem takiego samego fanatyzmu.*

Ucząc wzgardy do miecza, broni i morderczych narzędzi, dziwili się, że ich zakon, fundowany na czysto Chrystusowym altruizmie i asketyzmie, nie staje się religią państwową Rpltej (otoczonej od Wschodu i Południa dziczą mezzobestyi), a zapomnieli o tem, że państwowy organizm potrzebuje dla siebie religii, opartej nie tyle na miłościach bliźnich, ile właśnie na szacunku, należnym szybko zabijającej... broni.

I ten bezwzględny, nie liczący się z niczem „egoizm duszy“, ten idealizm tak bratni *liberum veto* i *liberum conspiro*, z czasem, zwykłą rzeczy koleją zatracił się i rozpłynął w posępnościach mistycznych, w spekulacyach całkiem już od życia oderwanych. Prymat rozumu upadał, a bezgraniczny pesymizm, zwątpienie, rozpacz, przeklęcie życia dochodziło jedynie do przedziwnych kon-

densacyi w twórczości niektórych poetów aryańskich.

Przetworzyć życie chcieli bowiem ci, co je już w założeniu znienawidzili; mózg, jak gąbka, wysysał muskularnie słabych i bezbronnych. Ojczyzna odwracała się od nich całkiem słusznie i sprawiedliwie, widząc, jak myśli górne produkować umieją, ale godzić je i budować złote mosty do rzeczywistości polskiej nie chcą.

W zmartwychpowstaniu z przemilczenia Aryanów myśl polska postępowa, humanitarna, liberalna, oświecona i jutrzejsza dostaje i wielkich familiantów protoplastów. Każdy program odrodzenia narodowego, byle dzisiejszy, byle bez liczenia na czynniki metafizyczne, w wielu ideach aryanizmu umiarkowanych i nie wyjaskrawionych czerpać może i będzie swoje teoretyczne krewieństwa i analogie, strzegąc się oczywiście tego, co wywołało tragiczny los tych prawdziwych męczenników „nieposkromienie niepodległej myśli".

Ci to bowiem Aryanie, obrzucani przez jezuickich podszczuwaczów epitetami: „mahometan", „pogan", „dyabłowych synków", „świnistrów" (od„ minister"), ci to gnostycy nasi, dali polskiemu językowi pierwszą gra-

matykę polską. Ci sami też—pierwszy polski podręcznik matematyczny Stegmana (patrz Rozprawy Akad. Umiej. za r. 1907). Ci sami—pierwsze książki polskie o etyce. Ci to Aryanie, „uczeni religii sędziowie", utrzymujący stale i ruchliwe stosunki z Zachodem, nie znający jeszcze późniejszej (od rosyjskiego panslawizmu przez nasz romantyzm przejętej) „wzgardy do Europy" — wykładali w swych szkółkach i „akademiach" naprzód bardzo wychwalanych, a później szkalowanych: matematykę, prawo, filozofię, i starannie zewsząd w Polsce przepędzane nauki przyrodnicze.

Od czasów pojawienia się „franciszkańskiego mistycyzmu" w Europie nie było, jak stwierdzają uczeni (Sembrzycki, Grabowski), w ewolucyi idei religijnych kompleksu myślowego bardziej interesującego od naszego aryanizmu. Chrystyaniczny ideał z pierwszych wieków średniowiecza odradzał się w nich z mocą i wybuchowością, czynił z nich najskrajniejsze lewe skrzydło reformacyi, opierające się już o pierwszych szkockich potentatów całkiem wyzwolonej myśli.

Wprawdzie początki aryanizmu sięgają u nas aż do roku 1550, ale chaos i ferment

idei ródczych kształtuje dopiero (jak często u nas) talent konstrukcyjny obcy, płomienny Faustus Socinus[1]). Do jego przybycia kryły się te idee pod płaszcz kalwinizmu, same zrodzone z gorącego interesu, jaki owczesna ludzkość miała (po Erazmie z Rotterdamu i Reformacyi) do wszelkich zagadnień bogoburczych i rozsadzających żelazny pierścień pogańsko-rzymsko-papistoskiego katolicyzmu.

Włoscy przybysze, ogniści conquistadorowie religijni, jak Ochin, Lismanin, Blandrata, Gentile, szli w Polskę roznosząc lucyferyczne, śmiałe mądrości takich buntowników hiszpańskich, jak Servet lub Valdes. Spekulacye wolnomyślności religijnej, odziedziczone po sekcie pierwszych Aryan z IV wieku, łączono ze surowymi poglądami na świat i życie pierwszych scholastyków. A ferment ten mocno podsycał sam humanizm, sceptycznie patrzący w dogmaty, a marzący coś o religii naturalnej, pierwotnej, o jakimś jeszcze jakby apostolskim monizmie.

---

[1]) Grób tegoż w Lusławicach pod Zakliczynem w Galicyi; kawał głazu na gruncie chłopskim, parkanem otoczony. Na głazie wytarty napis: *chi... seu ...te verra fama supera la morte.*

Z koleby wszystkich „nowinek“ w Polsce, z Krakowa i z krakowskiego kółka tajemniczego Lismanina, szły teologiczne broszurki włoskie na całą Polskę. Stąd rozchodził się wpływ włosko-hiszpański osobisty i drukowany na potężny wówczas w Polsce kalwinizm. Stąd dążność do rozdwojenia kalwinizmu na prawy, ortodoksyjny i na lewy, krytyczny. Stąd, z Krakowa wyszły też dążenia do stworzenia osobnego wyznania, religii czysto-polskiej, narodowej.

Niestetyż, wchłonięcie pierwiastków anababtystowskich, następnie poglądów Braci Czeskich i morawskiego komunizmu zamąciło samą zaródź religijną i pchnęło Aryanów na najfalszywsze tory; losy Polski, która nie umiała sobie wtedy (koło 1600 roku) ufundować swojej narodowej, państwowej religii chrześcijańskiej... już wtedy były przesądzone... Aryanskie wyznanie i zakon okazały zdolność do wytworzenia sobie państewka nie większego jak... Monaco w... Rakowie, (małem gniazdku pod Sandomierzem), i nie dłużej egzystującego, jak lat trzydzieści kilka...

Jak Faust Socyn nasz Aryanizm zorganizował, tak inny Włoch, Stancari z Mantuy, wyprawiał go w bój na najśmielsze z orto-

doksyą zapasy i harce. Demoniczny fantasta, wypisujący na swym sztandarze śmiało „Chimera" rzuca w Polskę garść swoich gwałtownych pisemek. Nobilitowany przez dwór, uzyskawszy za swój rozum indygenat polski. zrywa śmiało z kalwinizmem, szerzy wokół indyferentyzm, atakuje wszystkie świętości, dogmaty, tajemnice, podnieca niesłychane rozgorączkowanie religijne. Finalnie zaś gra na polskich animuszach i wyzyskuje rogate dusze. Sam naważywszy piwa, cofa się do przystani spokojnego kalwinizmu. Z jego to idei skroś genialnych a często skroś dynamitowych, rodzi się aryańska *progenies*, rekrutująca się z bogatych mieszczan, zbiedniałych szlachciców, wygnańców z Niemiec, włoskich awenturierów, a często ze „zrewoltowanych plebeuszów" niewiadomego pochodzenia i kondycyi.

Oto więc śród nich: spokojny padewski akademik, metodyczny, ścisły, jasny Piotr z Goniądza; oto Grzegorz Paweł, namiętny, zapalczywy, krapotkinowski i bakuninowski radykał; oto Budny, fourierysta, erudyta w wielkim stylu, piszący najtęższą, najkorzenniejszą polszczyzną; oto Johannes Niemojewski, logik i plastyk, z nieśmiertelnego, mocnego klanu niestrudzonych warchołów

Niemojewskich; oto T. Wiśniowski, przedziwnego smaku asketa, autor dyalogowanych broszur, twórca maksymy (na sto lat przed Russem): „cnota rodzi się jeno z umowy między człowiekami".

A obok nich całe grupy najróżnorodniejszych odcieni i nuansów myślowych, tacy ludzie, jak: Krowicki, Lutomirski, Czechowicz, Farnowski, Wilkowski, Przechadzka, Krzyszkowski; poczem w 17 wieku: Schlichtyng, Wollzogen, Wiszowaty, Przypkowski, Lubienieccy. Najinteligentniejsze to bractwo, początkowo zgodne, społem badające i odkrywające, z czasem swarliwe, namiętne, rozklócone, zagorzale, rozpolemizowane, wzajem się deprecyonujące i zwalczające, zawsze w imię każdego własnego, samoistnego drobniutkiego *liberum veto*... w kwestyach metafizycznych.

Już w chwili otwartego zrywania z kalwinizmem, w czasach gigantycznej wojny demonów: Stankara z Orzechowskim, Aryanizm rozdzielał się dość widocznie na trzy frakcye: Aryanów, czyli Socynianów, z naczelnym ideologiem asketyzmu Niemojewskim na czele; Unitaryuszów z pozytywistą Budnym i Stancaristów.

Trzy te frakcye, pierwiastkowo żyjące

w słomianej zgodzie, z czasem rwą się na siebie, by wreszcie wieść się za łby bez pardonu, zwalczać bez wytchnienia, zjeżdżać się dla 24-godzinnych dyszkurów, „udowadniań", powstydzeń i t. p.

Aryanie,—umiarkowani moderanci, rozrzuceni na całym obszarze Republiki np. Blandrata, siedmiogrodzki Paleolog, pogodny, powściągliwy a dosadny Budny atakowali wszelkimi sposobami twierdzę radykalizmu teologicznego (politycznego i społecznego): Raków, w której oszańcował się ideolog anarchii Grzegorz Paweł. Sam Stancar, użerający się płomienistymi paszkwilami z Orzechowskim tu, na drugim froncie walczył znów z utopistami rakowskimi, biorącymi dosłownie takie wersety Chrystusa, jak: „nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni"... „niech każdy rzuci dom swój i dobytek swój"...

Trzy pierwsze frakcye: Socynianów, Unitaryuszów i Stancaristów, powoli, w procesie coraz specyalniejszego różniczkowania—rozbijają się na trzysta. Każdy teolog uczył inaczej, indywidualniej; każdy polemizował ostro i bezwzględnie z tymi, którzy jego poglądów przyjąć nie chcieli. Wszyscy zgadzali się ze sobą tylko w jednem, t. j. w rewizyi wiary przez władze rozumu,

w poddaniu religii racyonalnym metodom badań, w autonomii etycznej jednostki po zwaleniu heteronomii religijnych, no i w absolutnie Chrystusowym postulacie zrównania wszystkich stanów.

Tylko ten jeden demokratyzm (w myśl Chrystusa) był platformą, łączącą nieprzeliczone kierunki i odcienia ideologii aryańskiej. Pozatem „wszystko płynęło" i falowało, doktryny chwilowo władne zmieniały się jak w kalejdoskopie, ani cień autorytetu nie mógł się chwilę utrzymać nad nimi, a ascetyczny, nawracający do średniowiecza hyperidealizm doprowadzał ich wszystkich do tego, że powoli oswajali się z życiem pozanarodowem i poza-społecznem, wyrzekali się wszelkich społecznych i narodowych kontraktów i obowiązków. Żrąc i spierając się wyłącznie ze sobą o abstrakcyę, doktryny i dogmaty, stali się z czasem wśród kolorystycznego, buńczucznego, obozowo-wojennego, rycerskiego życia polskiego wyspą kosmopolisową, organizmowi narodowemu obojętną, wreszcie zaś jawnie antypolską.

III.

Zamętowi i wirowisku sprzeczności, nie-

jasności, zbytnich swobód dogmatycznych i krańcowości aryańskich usiłował kres położyć przedewszystkiem Socinus młodszy: Lelius. Jego dziełem jest pierwszy katechizm rakowski, zarazem ujęcie najzmienniejszych, płynnych i oddalonych poglądów całego aryanizmu w jakąś możliwie systematyczną całość. Od niego wywodzi się grupa najuczeńszych teologów, od niego pogłębia się wiedza i erudycya, żądza roztrząsań dogmatycznych i docierań do jądra kwestyi dyskutowanych, dążność do zdobycia prawd immanentnych; choć zarazem i osławiona komentatorska manja.

Kierunek Leliusa Socina szedł ku zamknięciu się i odgrodzeniu od życia, ku warowaniu bezwzględnej surowości w badaniach i dociekaniach przy absolutnem zlekceważeniu wszelkich mądrości świeckich. Cały Aryanizm, poszedłszy linią wytyczną Lelia Socina i jego uczniów, późniejszych ministrów, kołował wyłącznie przy kwestyach teologicznych i chrystologicznych, nawet i wtedy, kiedy już cały świat ostygał z gorączek reformacyjnych i zajęcia się kwestyami religijnymi. „Bracia Polscy" nadal spierali się o literę, o ustępy z Pisma, o cytaty; jedynie twórcze i owocne pole

wolnego badania zostawili opuszczonem; miejsce ich zajął śmielszy i świeższy prąd Kartezyański w Europie.

Nie poszedł zaś Aryanizm linią drugiego swego herbowego reprezentanta Frycza Modrzewskiego, jednego z najciekawszych, najgłębszych myślicieli polskich, więcej wartego poznania od niejednego z romansujących po Europie „świętych polskich" XIX wieku. Frycz to głównie w swem kapitalnem dziele: „Sylwach", postawił bardzo silnie jako postulat potrzebę racyonalnej kontroli nad dogmatami, szacunku dla nauki faktycznej i bezwzględnej tolerancyi wyznaniowej. Sceptycyzm wcale krańcowy pozwalał mu jednakże ufać w tak mieszane małżeństwa, jak wiary z wiedzą, jak również i w ugodę między wyznaniami, ba! nawet w zjednolicenie wszystkich Socynianów.

Obadwaj: Frycz i L. Socyn, w imię kardynalnie obowiązującej tolerancyi łagodzą coraz niemożliwszy w inwektywności ton polemik. Zwolna propagują wyrozumiałość, oględność, delikatność, chęć godzeń. Tymczasem zaś nadchodzi panowanie dwóch ostatnich Wazów, polityczne chmury gromadzą się nad Rzplitą, ojczyzna staje w niebezpieczeństwie, rośnie instynkt samoobrony,

skonsolidowania się, zgniecenia i wyeliminowania z łona narodu elementów obstrukcyjnych, „niespokojnych i szkodliwych". Choć kultura odrębna Aryanizmu dopiero teraz właśnie tężeje, nabiera wspólnej barwy i wyrazu, już dokoła ich skromnych ukrytych placówek piętrzą się złowrogie fale spienionego fanatyzmu i złego, krwi chciwego obskurantyzmu.

Spekulacye tych dziwnych ludzi (z których wielki procent na dobitek nosi jakieś mieszczańskie czy chłopskie, przybłędowskie, szlachcie niedźwięczne nazwiska) doprowadzają trzody Maryańskich owieczek z hodowli Jezuickiej do szału. Możniejsza szlachta odczuwa w nich (i słusznie) inklinacye do „ekspropryacyi ekspropryatorów", widzi w nich pół obłąkanych cudaków, przemądrzałą „arystokratyczną" frazeologią propagujących komunistyczne teorye, uwalniających swych włościan od poddaństwa i wogóle biorących chrystyanizm całkiem na seryo, nie w jego „stosowaniu", w jego zpreparowaniu rzymskiem, luterańskiem lub kalwińskiem. Fale całkiem naturalnej reakcyi: narodowej samoobrony wzbierają. Aryanizm, zrobiwszy jeszcze kilka najfatalniejszych pociągnięć poli-

tycznych i ruchów, przegrywa i idzie w banicyę...

A tylko w ostatniej swej fazie zdobywa się na ...śpiew łabędzi poezyi. Jedyny poeta Aryański z XVI wieku, znany podróżnik do Turcyi—Otwinowski, rymowladca ciężkawy w swych przypowieściach i papierowy, ma teraz licznych postępców w dwóch Arciszewskich (z których jeden, silacz plastycznego słowa i niepohamowanego uczucia), w trzech Morsztynach (z których jeden liryk i epik, miłośnik wsi wesołej, dosadny, dowcipny), w niesłychanie ciekawym Karmanowskim, to rozpustnym, to kontemplacyjnym, to hulaszczym, to religijnym; w Wiszowatym, Pastoriusie, Niemierzycu, Lubienieckim, a wreszcie w Potockim Janie i w Potockim Waclawie.

Szukając teraz jeszcze i szperając w regestrze przyczyn upadku Aryanizmu w Polsce, znajdujemy przedewszystkiem tę, która zawsze powoduję klęskę Ateńczyków wobec Persów, zanik niezorganizowanych formacyi wyższych pod przemocą zorganizowanej cyfry. Notując przyczyny natrafiamy na: nastrój ich umysłowości wyłącznie religijny, do aliansów z życiem nieskory, w egzaltacyi sił duchowych zatopiony. Następnie na: kie-

runek ich reform bez żadnego zmysłu i zrozumienia polskiej rzeczywistości, skutkiem czego skazanie z góry na uwiąd wszelkiej aryańskiej ekspansywności kulturalnej. Wreszcie n a: duch sekciarstwa, który, wiążąc się z etycznym hyperidealizmem, trzymał ich w sferze spekulacyi ponadziemskich. Aż wreszcie całkiem obcymi i zbytecznymi zrobił ówczesnej społeczności polskiej.

Nakoniec przyczyna pozornie pomniejsza, ale w zaregestrowaniu konieczna, t. j. ich niechęć do wszelkiego ideału zmysłowego, do Sztuki, Piękna; choćby piękna stroju i gestu, choćby sztuki świątnicowej, organowej, ceremonialnej, aparatowej, ale i w kościele katolickim, i w kościele buddyjskim z powodzeniem używanej, a nawet w kościele pozytywnym Comta... poleconej.

Patrząc na świat ich z lotu ptaka i stanu nauki dnia dzisiejszego, dostrzegamy w ich tomikach i broszurkach (niestetyż! przeważnie łacińskich), antycypacye i zalążki wszelkich wielorakich w sto, dwieście i trzysta lat później rozbudzonych kompleksów i kręgów myślowych. Jeżeli się wchodzi w ledwie pierwszą znajomość z nimi, wprost zdumienie i podziw ogarnia na widok tego bogac-

twa, wielostronności, bujności i odwagi w rzutach myślowych Aryanizmu polskiego.

Co wiek XIX całokształtów ideowych wydał ze swego łona, to wszystko w siemionkach i ziarenkach, w poszytach i skrutach drukowało się już dwa wieki temu w tłoczniach i prasach kilku Aryańskich miasteczek. Zanim powołane pióro zestawi pojedyncze punkta ewolucyi myśli nowoczesnej z analogicznemi dziełkami ideologii naszych Socynianów, już teraz naszkicować da się, co to wszystko w łyskach myślowych roiło się i rodziło w głowach tych biednych męczenników myśli, tych biednych ofiar swego radykalnego polskiego animuszu.

Oto kantowska: „religia w granicach samego rozumu“ z r. 1793 występuje śmiało w kilkunastu książczynach, generalnie zaś w „Sylvach“ Friciusa, drukowanych w Rakowie.

Oto Hegla człowiek-bóg dyalektyczny, w miejsce Boga historycznego, jest antycypowany w wykładach kiku ministrów lewicy Aryańskiej, a także i w Tobiaszu Wiśniowskim i jego „Prawdach Chrystyańskich“.

D. F. Straussa etyczny idealizm bez religii teonomicznej miał w Rakowie żarliwych i licznych prekursorów.

Ma Aryanizm może swego Schopenhauera... w posępnym i zgryźliwym Niemojewskim; wiele Stirnera leży w Czechowiczu.

Najliczniejszych zwolenników ma indywidualizm najskrajniejszy bakuninowsko-krapotkinowski. Ale i fourrieryzm ma swego poprzednika. Takie pozornie ostatniej doby poglądy, jak Tołstojowskie „niesprzeciwianie się złemu“ były całymi tygodniami omawiane i przedyskutowywane i na Podkarpaciu, i na Podolu, i w Pińczowie...

„Uduchowienie cielesności“, splatonizowanie się według doktryny Kierkegaarda miało w Rakowie swojego przedrzecznika. Znowuż amerykański ruch etyczny i ruch religii cywilnej, od takich moralistów idący jak Thoreau, W. Whitman, Emerson, lub dzisiejszych Niemców: Egidyego, Naumana, Kalthoffa, wszystko to w pierwocinach, zarysach, naszkicowaniach i rzutach mieści w sobie biblioteka fratrum Polonorum. I postulat zniesienia niewoli chłopskiej, idea solidarności narodów (którą ni stąd, ni zowąd przysądzają romantyzmowi naszemu), i idea zniesienia kary śmierci, ba! nawet kary cielesnej... i liga pokoju, i rozbrojenie ludzkości, i antymilitaryzm pozornie tak związany tylko z XIX wiekiem militarnym, mają swoich

Hervé'ów i Liebknechtów w Rakowie pod Sandomierzem.

Ziarna myślowe Włochów i Hiszpanów zbuntowanych przeciw Niepoznawalnemu padały na grunt ponoszącego wszystko temperamentu sarmackiego i zdrowej, świetnej krwi Moskorzewskich, Lubienieckich, Arciszewskich, Wiszowatych, urodzonych argonautów, rozmiłowanych w najśmielszych polotach swej świeżo rozbudzonej myśli.

Nie potrzeba przesadzać, ale konieczną jest doceniać. Dziś można już śmiało mówić o „geniuszu Aryanizmu polskiego", i dziś trzeba ratować co ocalało od wandalicznej furyi ortodoksyi klerykalnej, zgalwanizować zapomniany, pogrzebany mały świat wielkiej kultury Aryanów, oddać świadomości ogółu może najciekawszy błam z przeszłości duchowej naszych pradziadów: Kmiciców i Wołodyjowskich intelektu. I choć w tym ekshumowanym świecie przeważać będą cokolwiek nazwiska brzmienia łacińskiego czy niemieckiego, to jednakże ciekawsi, bardziej intrygujący i najdalej szybujący śród nich to ci, co ze szlachty są, co rzucili mieczyk dla pióra, konia dla księgi, sławę dla... poniżenia... i tułaczki.

Znali naszych Aryanów doskonale Angli-

cy z końca 17 wieku z kilkunastu wydawnictw angielskich i łacińskich dziś nam przystępnych. Czytywali: Bibliothekę Fratrum Polonorm. Irenopolis 1656 — 1602, Historia Cryptosocinianismi, Lubienieckiego: „Historia reformationis Polonicae“ (Amsterdam, 1685), Sandiusa „Biblioteca Antitrinatarium“ (Freistad, 1684), Aschwella Anglika: „De Socino et Socinianismo“ 1693, J. Toulmina „Memoirs of the life und sentiments of Socinus“. — Znał ich Locke, Hobbes, Collins, Chubb, Bolingbrocke, Pope, Newton i Hume, a za ich pośrednictwem poznali deiści francuscy. Rzeczą i obowiązkiem nauki polskiej jest wykazać, czy w Baylem [1]), La Bruyère, Fenelonie nie słychać ech tych dzieł, które licznie drukowały się w Amsterdamie, w tym wielkim magazynie wolnej i niepodległej myśli 17 wieku.

Znał dzieła naszych Aryanów Leibnic, który interesował się Polską, pisywał o Polsce, a którego biografika niemiecka wywodzi od... Aryan Lubienieckich. Między zaś kalwinami, już przechylającymi się do Aryanizmu, znajdują się i dwaj Nycze z warmińskiej ziemi, z tej samej rodziny, która uni-

[1]) Bayla pozyskal dla Aryanizmu jak i Shaftesburego Samuel Crell.

wersytetowi krakowskiemu dała Johannesa Niciusa Leopolitę (aut Kasprowicz doctus), magistra artium, teologii doktora, wydawcę Biblii poprawionej. Z warmińskiej zaś rodziny Niczow[1]), nie żadnych Nieckich, wywodził się pastor Nietsche, ojciec dzielnie tłómaczonego a niedzielnie komentowanego u nas filozofa poety — komety.

Kultura Aryańska, jak widać z tych wiele mówiących niedomówień, miała w sobie ukryte i zadrzemane olbrzymie moce, które jak u nas zawsze, poszły na służbę cywilizacyi obcych, zwycięskich, mocnych a wrażych.

Bądź co bądź jednak należy się rozpatrzyć i w tych monumentach myśli polskiej *naufragio eruptis*. Wywiódł nas w pole i na manowce i napoleonizm, i romantyzm, i mesyanizm. Możeby lepiej sięgnąć głębiej w wieki dawne i stamtąd czerpać nieco życiotwórczych mocy...

Z ekshumacyą Aryanów, tej mądrej elity najmłodszych Aryów, odkrywają się może nowe obszary i terytorya dla historyozoficznej myśli, dla poetów życia, dla muzyków

[1]) Alias Nyczów, Nietschów. Jeden z nich autor: Laurea Akademica i Spes Prussiae, panegiryku na cześć wstępującego na biskupstwo Szyszki.

przyszłości polskiej, konstruktorów jutra, dla miłośników rozumu.

Czekamy prac naszych uczonych z nieutajoną niecierpliwością! Wiele słonecznych nadziei łączy sobie spółczesne pokolenie ze zmartwychwskrzeszeniem Braci Polskich. By się nam spełniły!...

SPIS RZECZY.

TEGOŻ AUTORA:

I. *Studya i szkice.*

II. *Wczasy literackie.*

